

25. rocznica konsekracji kościoła w Sowlinach



Fotografia: Zbigniew Grochot

**To co najtrudniejsze
- czyli zdobywanie funduszy
na budowę świątyni limanowskiej**

**W 35. rocznicę śmierci
Dyrektora Wilhelma Tabora**

**50. rocznica nadania
im. Władysława Orkana
I LO w Limanowej**

**Stanisław Kulig
- ogrodnik z Limanowej**

Droga do wolności

**Nowe jaskinie Beskidu Wyspowego
Tajemnice podziemi**

**IV Spacer historyczny
po Limanowej**

**Tadeusz Szymon Ptak
- „dr Olszyna”**

**Wyprawa Too-tiki
Część 1: Z Lizbony na Kanary**



Fotografie: Zbigniew Grochot

Konsekracja kościoła w Limanowej-Sowlinach Srebrny Jubileusz

Ad Majorem Dei gloriam

Wprowadzenie

25 lat temu, w niedzielę 16 maja 1993 r., mieszkańcy Limanowej-Sowlin przeżywali doniosłą, głęboką i poruszającą uroczystość parafialną: konsekrację własnej, tak długo wyczekiwanej i z ogromnym heroizmem budowanej świątyni. Przygotowania do tej uroczystości trwały od miesięcy i były prowadzone na wielu polach (duszpasterskim, budowlanym, edukacyjnym, ekonomicznym, porządkowym, kulinarnym itd.). Ster w rękę trzymał sam Proboszcz, ks. kanonik Jan Bukowiec, który panując nad całą logistyką, funkcje poszczególnych sektorów organizacyjnych porozdzielał pośród księży i parafian.

Od dłuższego już czasu trwały prace wykończeniowe w górnym kościele (założono posadzkę, ufundowano ławki, ukształtowano artystycznie prezbiterium z ołtarzem, ambonką, krucyfiksem na tle oryginalnego witraża oraz tabernakulum (po drugiej stronie prezbiterium). Przed samą uroczystością

prof. Józef Staniszewski przygotował (w korytarzu dolnego kościoła) okolicznościową wystawę fotograficzną (obrazującą dzieje budowy). Była ona „udokumentowaniem trudu parafii [...], aby parafianie mogli spojrzeć wstecz i przypomnieć sobie pot, pracę, wysiłek, ale i radość przy budowie nowej świątyni” – stwierdził ks. kan. Jan Bukowiec. Cofając się w czasie, mogliśmy na niej zobaczyć etapy budowy kościoła: fotosy ukazujące m.in. postawienie krzyża na placu budowy, wykopy pod ławice, lanie ławic, pracę konstruktorów przy zbrojeniu oraz samego budowniczego ks. kan. Jana Bukowca, który nie oszczędzając się włączał się w prace. Angażował w to wszystkie swoje siły intelektualne i fizyczne, a nawet sam „kruszył” głazy, gdy były problemy z ich rozbijaniem.

Kilka tygodni przed konsekracją kościoła oraz kilka dni przed i po niej ukazały się artykuły w „Czasie” krakowskim, „Słowie” dzienniku katolickim, „Dzienniku Polskim” i „Gazecie Krakowskiej”. Ich autorami – mówił Proboszcz – są ▶



► p. Szewczyk z Nowego Sącza, Jan Uryga z Limanowej-Sowlin oraz Józef Szymon Wroński¹ z Krakowa, rodak limanowski. Niedawno (w 1992 r.) obronił pracę doktorską na temat bazyliki limanowskiej – kościoła sanktuaryjnego, do którego w szczególny sposób pała petyzmem – podkreślił proboszcz ks. Jan Bukowiec. Duże wrażenie wywarł na Czytelnikach jego artykuł zatytułowany *Okręt Chrystusowy*², symbolicznie i trafnie określający, czym kościół tak naprawdę jest.

Uroczystość konsekracyjna zgromadziła rzesze wiernych, licznych kapłanów i siostry zakonne oraz licznych gości, którzy zjechali się tutaj niemal z całej Polski, a nawet z zagranicy. Na uroczystościach był obecny założyciel placówki duszpasterskiej w Sowlinach ks. Władysław Ryś, jak również jego następca ks. Władysław Ślęk, rektor placówki rektoralnej i wielu zasłużonych księży z Diecezji Tarnowskiej oraz okolicznych parafii Ziemi Limanowskiej, m.in. ks. prał. Józef Poręba, proboszcz limanowski, ks. Władysław Pasiut, ks. Artur Ważny, ks. kan. Ryszard Stasik, ówczesny proboszcz z Limanowej-Łososiny Górnej, ks. Marian Tyrka, proboszcz ze Starej Wsi i wielu jeszcze innych zacnych księży.

Świątynia została na ten dzień uroczystie przystrojona. Na jej fasadzie, pod krzyżem widniała flaga (zsunęta na bok), a na niej umieszczony obraz ukazujący patrona kościoła i parafii św. Stanisława Kostkę, a pod obrazem wisiał długi napis zawołania inwytacyjnego: *PÓJDZIEMY Z RADOŚCIĄ DO DOMU PANA*, który jest refrenem psalmu 122 śpiewanego podczas konsekracji świątyni. Pogoda w tym dniu była deszczowa. Duch Święty, skrapiając rześniętą świątynię zewnątrz, przygotował ją na konsekrację.

Przeżyjmy to jeszcze raz – Powitanie ks. Biskupa

Patrząc na twarze parafian i przyjezdnych gości widać, że trwa radosny moment oczekiwania na przyjazd Ordynariusza Diecezji Tarnowskiej, ks. bp. prof. dr. hab. Józefa Życińskiego. Orkiestra dęta, pod batutą prof. Ludwika Mordarskiego, przygrywając skoczne melodie, umiła oczekiwanie i przywitanie dostojnego gościa. Ks. kanonik Jan Bukowiec z orszakiem procesyjnym rusza ku bramie ustawionej przed dojazdową uliczką, otwierającą się na kościół i dziedzińczyk przykościelny. Tu zatrzymuje się. Ks. Biskup wysiada z samochodu i wraz z ks. dr. Karolem Dziubaczką, kanclerzem Kurii Diecezjalnej w Tarnowie, zdąża w stronę uroczystej bramy z napisem: *WITAMY NASTĘPCĘ APOSTOŁÓW*. Po jej drugiej stronie widnieje błagalny napis: *BŁOGOSŁAW NAM*. Brama przybrana jest proporcami w barwach narodowych, papieskich i lokalnych. Zgromadzeni witają czcigodnego gościa. Orkiestra przygrywa melodyjnie do śpiewu chóru i parafian. Ks. Proboszcz wychodzi naprzeciw gości. Następuje moment przywitania: Serdeczny uścisk dłoni i swego rodzaju *homagium* złożone ks. bp. Życińskiemu przez Gospodarza parafii ks. Jana Bukowca w postaci niskiego ukłonu. Te serdeczne gesty mówią o wdzięczności względem Ojca Diecezji. Ks. Biskup święci – kropi zgromadzonych i wita się z księżmi i opatem ze Szczyrzyca.

W trakcie rozmowy Biskupa z Proboszczem pada pełne troski pytanie Biskupa skierowane do Gospodarza: *Spałeś coś? Przygotowanie takiej uroczystości – mówi bp Życiński – kosztuje sporo wysiłku, nieprzespanych nocy. Po latach, gdy*

rozmawiałem o tym z ks. prał. Janem Bukowcem, wrócił do tych słów: *Proszę sobie wyobrazić: Biskup pamiętał jeszcze o tym, by mnie zapytać, czy cokolwiek spałem. To takie ludzkie, takie serdeczne i takie ojcowskie – skwitował w ciepłych słowach ks. Bukowiec.*

Symboliczne otwarcie wrót świątyni



Procesja z krzyżem: służba liturgiczna, Gospodarz wraz z Biskupem, dziesiątki księży i sióstr zakonnych (m.in. siostra Stanisława, która przez szereg lat służyła swoją pomocą w kaplicy i szpitalu) oraz wierni ruszają spod bramy i udają się w stronę kościoła. Idąc schodami ku górze, zbliżają się ku drzwiom kościoła i zatrzymują się przed jego wrotami. Orkiestra gra, chór i wierni śpiewają pieśń na rozpoczęcie uroczystości: *Pod Twą obronę, Ojczyźnie na niebie, grono Twych dzieci swój powierza los, Ty nam błogosław, ratuj w potrzebie i broń od zguby, gdy zagraża cios*. Ks. Biskup rozpoczyna obrzęd konsekracyjny: *W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen*. W krótkich słowach wita wiernych i modli się: *W świętym Kościele Boga, łaska i pokój niech będą z Wami Wszystkimi. I z Duchem Twoim – odpowiadają wierni. Drodzy Bracia i Siostry! Z wielką radością gromadzimy się, aby podczas Ofiary Chrystusowej poświęcić nowy kościół, stanowiący symbol Waszego oddania Chrystusowi, widoczny znak Waszych ofiar i Waszego trudu. Serdecznie dziękuję już tu w punkcie wyjścia za to wszystko, co razem z ks. Kanonikiem wnieśliście, aby wzrastał ten Kościół. Dziękuję za tę serdeczność, którą widzę po Waszym geście przywitania. Cieszę się, że ta uroczystość gromadzi wielu drogich gości, reprezentujących różne środowiska od sióstr zakonnych po reprezentantów senatu RP. Cieszę się i wspólnie teraz w pobożności weźmiemy udział w świętych obrzędach, zasłuchani w Słowo Boże. Prosimy, aby wspólnota, która gromadzić się będzie w tych murach, karmiona Eucharystią przy stole Pańskim, rosła na duchową świątynię i postępowała w miłości [...]*.

Następuje symboliczny moment otwarcia Wrót Pańskich. Proboszcz przekazuje ks. Biskupowi klucz do świątyni (biskup przekręca go, kanonik naciska klamkę). I oto Wrota Świątyni Pańskiej zostały szeroko otwarte. Procesja z krzyżem na czele a z nią wierni wchodzi uroczystość do wnętrza świątyni z pieśnią na ustach: *Czy toń spokojna, czy huczą fale, Gdy Ty swe dzieci w Swej opiece masz, Wznosimy modły dziś ku*

Tweju chwale, Boś Ty nam tarczą, Boże Ojczy Nas. Niejednemu uczestnikowi tej uroczystości, idącemu przez kościół ku prezbiterium, na ścianie którego widnieje ogromny krzyżyk, przypominają się w tym momencie słowa Chrystusa: *Ja jestem drogą, prawdą i życiem.* Wnętrze świątyni przestronne i symboliczne, opromienione wpadającym z góry niebieskim światłem (jakby wprost z nieba pochodzącym), rozlewającym się i rozświetlającym ściany i posadzkę, przyjmuje dostojnych gości i parafian. Jawi się nam ono w tym szczególnym momencie jako niezwykle i symboliczne; to przedsiwonek Królestwa Niebieskiego. Cały kościół jest odświętnie udekorowany. Wzdłuż empor rozwieszono girlandy, a wokół ołtarza i pod krzyżem prezbiterialnym ustawiono flakony z bukietami kwiatów. Na balustradzie empory „kolarskiej”, pośrodku, widnieje herb biskupi. Nad jego tarczą: u góry – kapelusze biskupi, który wieńczy tarczę, a wokoło niej w dół zwisają chwyty. Na tarczy w tle usytuowany jest krzyż: w prawym, górnym polu znajduje się zlatujący Duch Święty w postaci gołębicy, w lewym, dolnym polu umieszczona jest otwarta Księga z literami *Alfa i Omega*. Wzdłuż balustrady u dołu, na jej flankach czytamy inskrypcję – zawołanie biskupie ks. Józefa Życińskiego: *IN SPIRITU ET VERITATE – W DUCHU I PRAWDZIE.* Kościół wypełnia się wiernymi (wszystkie miejsca są zajęte: na chórze, emporze, w kaplicy, dolnym kościele). Wierni stoją także przed kościołem.

Obrzęd poświęcenia kościoła i ołtarza

Biskup, jego sekretarz i Gospodarz klękają przed ołtarzem: krótka, cicha modlitwa. Chór śpiewa psalm. *Pójdziemy z radością do świątyni Pana.* Następnie ks. Biskup zajmuje miejsce. Rozpoczyna się I część liturgii konsekracji kościoła: Najpierw uroczyste przywitanie ks. Biskupa przez poszczególne grupy parafialne. Dziewczynka Zofia Zoń wita dostojnego gościa: „Pasterzu Nasz, witamy Cię w progach naszego kościoła. W tym dniu uroczystym do nas przybywasz, aby poświęcić naszą świątynię. Witają Cię dzieci, młodzież i starsi. Przyjmij Ojczy z miłością przyniesione kwiaty”. Teraz w imieniu parafii wita Biskupa p. Henryk Twaróg: „Czcigodny Księżo Biskupie! Z wielką radością cała wspólnota parafialna oczekiwała Twego przybycia, abyś namaścił tę świątynię wznoszoną wielkim trudem. Trzeba bowiem przyznać, że był to wysiłek naprawdę wielki wielu ludzi, ale ludzi dobrej woli, których godnym przewodnikiem był nasz proboszcz. W dzisiejszym dniu mocą Bożą, a także Twoim Ojczy posługiwaniem ten kościół wznoszony w takim mozole i trudzie stanie się na prawdę Domem Bożym, aby nam trwał na wieczną chwałę Boga Wszechmogącego, Jego Syna Jezusa Chrystusa, a także na chwałę wieczną Matki Bolesnej, o której nigdy nie zapominamy w Nowennie Nieustającej, a nam, aby ten kościół trwał jako przybytek w dążeniu do wiecznej Ojczyzny, a także przyszył pokoleniom”.

Następnie zabiera głos Proboszcz ks. kan. Jan Bukowiec: „Drogi księżo Biskupie! Jako Pasterzowi całej wspólnoty Diecezjalnej pragnę przedstawić w tym historycznym momencie, jaką drogę przebyliśmy w naszej wspólnocie przy budowie kościoła przy pomocy Bożej... Swoją refleksję opieram na dwóch hasłach biskupów tarnowskich. Śp. biskup tarnowski Jerzy Ablewicz przyjął hasło: *Lavare pedes – Obmywać stopy.* Ile trzeba było zmyć brudu i zagoić ran balsamem roztropności na drodze zezwolenia na budowę kościoła. Wszak według



ówczesnej władzy było nie dać zezwolenia, jak tylko to możliwe. Jeśli się to przebrnęło, wstrzymać lokalizację. Jeśli i to przechodziło, odwlekać rozpoczęcie budowy. Wszystkie te przeszkody we wspólnocie odważnej i nieustępliwych ludzkich postaw przebrnęliśmy. 5 lat starań o zezwolenie. Cztery lata prób o pozwolenie na rozpoczęcie budowy. Wreszcie w 1979 r. – pierwsze wykopy. I wtedy właśnie poświęcony został kamień węgielny przez naszego papieża Jana Pawła II w Nowym Targu. W 1980 r. 22 czerwca ówczesny rządca diecezji wmurował kamień węgielny, a pod nim jest kamień, który wydobyła koparka w miejscu, gdzie jest prezbiterium. Ogromny kamień, z którego murarz wyciął fragment, aby wpiąć na dole pod tym kamieniem węgielnym datę jego wmurowania. Wtedy Biskup powiedział: >>To jest właśnie kamień węgielny, na którym powstawała świątynia<<. Poświęcenie dolnego kościoła wraz z zapleczem katechetycznym nastąpiło w 1984 r. Kościół stanął w stanie surowym.

Kolejne daty to ubieganie się o plebanię, a następnie jej budowa i wykańczanie górnego kościoła, zewnątrz jeszcze potrzebuje dopełnienia w elewacjach. Na tej drodze towarzyszyli nam architekci, inżynierowie i wykonawcy. Chciałbym chociaż w skrócie ich wymienić, przywitać i podziękować na samym początku: p. arch. Czesławowi Białemu, p. Bogusławowi

► Sokalowi, p. Franciszkowi Michałkowi, Zdzisławowi Piekarczowi, który troszczy się o wystrój kościoła. Tym, którzy brali udział w wykończeniu kościoła: szczególnie Józefowi Sowie i Józefowi Ptaszkowi i wielu, wielu innym [...]. Ale największy trud i ciężar nieśli w pracach parafianie i oni to składają dary ofiarne. Drugie hasło biskupa tarnowskiego umieściliśmy na ścianie prezbiterium. Będzie na stałe w kaplicy, która będzie poświęcona św. Józefowi. I tam jest wprawiony witraż, jako dar jednej rodziny z parafii. To Twój program duszpasterski i nasz również. Poprzednikowi Twojemu przyszło w udziale – jak już powiedziałem – zmywać brudy i goić rany na drodze tej świątyni, a Ty pragniesz, aby te mury, te konstrukcje, ta symbolika wystroju były owiane duchem i prawdą. A jakże to trudne zadanie, bo dziś zmaterializowany świat, bo dziś próba przeinaczania faktów, a to ma być w duchu i prawdzie. Dlatego Twoja obecność i posługa Pastorska ma nas umocnić i o to Cię prosimy”. Tu Proboszcz przeczytał słowa sekwencji na poświęcenie kościoła w przekładzie ks. Jan Twardowskiego, napisane prawie 100 lat temu. Następują serdeczne słowa podziękowania: uściski ks. Biskupa i ks. Proboszcza. Chóry połączone (młodzieżowy i męski) pod dykcją p. Haliny Dyczek śpiewa hymn: *Gaude Mater Polonia – Ciesz się Matko Polsko*.

Biskup, wkładając szaty liturgiczne, przygotowuje się do obrzędu konsekracji kościoła i odprawiania Mszy św. Następuje obrzęd poświęcenia wody i pokropienia ścian kościoła. Biskup mówi słowa modlitwy: *Drodzy Bracia i Siostry! Poświęcając uroczystość tę świątynię pokornie prosimy naszego Pana i Boga, aby błogosławił tę wodę, którą będziemy pokropieni na znak pokuty i na pamiątkę naszego chrztu, a następnie poświęcimy ściany i ołtarz naszego kościoła. Niech sam Pan wspomaga nas swoją łaską, abyśmy posłuszni natchnieniu Ducha Świętego, którego otrzymaliśmy, trwali wiernie w Jego Kościele. Prosimy o to w chwili cichej modlitwy, ofiarując Bogu w szczególności sposób tych, którzy trudzili się w budowie tej świątyni[...], a ja tę ofiarę Mszy św. sprawuję w intencjach Was Wszystkich, którzy swój pot i ostatnie swoje oszczędności, swoje nadzieje i swoje radości, swój trud złączyli z budową tego kościoła. Boże, przez Ciebie wszelkie stworzenie osiąga światło życia. Otocz ludzi taką miłością, [którą] z miłosierdzia obmywasz z grzechu i prowadzasz nieustannie w Jedności z Chrystusem, który jest głową. W swoim miłosierdziu postanowiłeś, że ci, którzy przyjmą chrzest, umrą z Chrystusem i powstaną do nowego życia, aby stać się członkami Jego ciała mistycznego i dziedzicami wiecznej nagrody. Uświęć tę wodę swoim błogosławieństwem, aby pokropienie nas i ścian tej świątyni było znakiem przypominającym sakrament chrztu, którzy obmyci z grzechu, staliśmy się świątynią Twojego ducha. Spraw, abyśmy z wszystkimi braćmi, którzy w tym kościele będą sprawowali święte sakramenty doszli do Niebieskiego Jeruzalem przez Chrystusa Pana Naszego. Amen. Bóg Serce Miłosierdzia niech będzie zawsze w sercu tej modlitwy, a łaska Ducha Świętego niech oczyści żywą świątynię, którą my wszyscy jesteśmy.*

Ks. Biskup wraz z Proboszczem, przemierzając się pośród tłumu, idąc obejściem wokół ścian, kropi ściany kościoła. Chór i wierni w tym czasie śpiewają pieśń: *Kościół żywy i prawdziwy to jest serc wspólnota*. Proboszcz dziękuje Ordynariuszowi za pokropienie kościoła święconą wodą. Rozpoczyna się liturgia słowa. Niech radosny hymn śpiewany przez chór i wiernych: *Chwała na wysokości Bogu...*, będzie znakiem wielkiej czci, którą chcemy w tej świątyni oddawać Bogu Najwyższemu.



Następnie słyszymy słowa prowadzącego: Niech w tej świątyni rozbrzmiewa Słowo Boże, aby przyczynić się do naszego zbawienia w Kościele. Amen. Lektor czyta z Księgi Nehemiasza (8, 2–11) oraz z I Listu św. Piotra Apostoła (3, 15–18). Po Czytaniach młody kapłan ks. Roman Michura – rodak sowliński czyta Ewangelię według św. Jana (14, 15–22). Po Ewangelii Słowo Pastorskie wygłasza ks. Biskup, który porusza ważne problemy zmieniającego się świata i odradzającej się Ojczyzny w kontekście tęsknoty za Chrystusem – Odnowicielem (tekst homilii opublikujemy w następnym numerze „Echa”). Po wygłoszonej homilii ks. Biskup modli się słowami: *Przepełnienie życia wiarą w nowych warunkach, w sprawiedliwej Polsce, w świecie opromienionym Bożą łaską, wyrażmy teraz słowami Credo: Wierzęw Boga Ojca... Módlmy się do Boga Ojca Wszchemogącego, który przemienia serca wiernych w tej duchowej świątyni w nadziei, nasze zaś prośby niech wspiera braterska modlitwa Świętych*. Ks. Ryszard Stasik, prowadzący, zapowiada: Zachęcenie wezwaniem ks. Biskupa, stojąc, śpiewać będziemy Litanię do Wszystkich Świętych. Śpiew Litani przygotowuje na najważniejszą część uroczystości – na moment konsekracyjny: W ołtarz wmurowane zostaną relikwie świętych. Będą one od tej pory jakby fundamentem każdej Mszy św. Relikwie św. Honoraty, św. Herakliusza i bł. Kingi bierze ze stolika przed ołtarzem ks. Proboszcz i podaje ks. Biskupowi, który je umieszcza (puszkę

z relikwiami) w czole mensy ołtarzowej, a symbolicznie „zamurowuje” je Jan Golonka długoletni majster całej budowy. Chór śpiewa hymn – modlitwę, a wierni odpowiadają: *Chwała Twych świętych trwa po wszystkie wieki.*

Teraz najważniejszą modlitwę konsekuracyjną odmawia ks. Biskup: *Boże, Ty uświęcasz Swój Kościół i nim kierujesz, uroczyste wielbimy Twoje Imię, ponieważ lud wierny pragnie dzisiaj poświęcić Tobie na zawsze ten dom modlitwy, w którym pobożnie cześć Tobie oddaje, a Ty oświecasz go swoim słowem i karmisz łaską Twoich sakramentów. Ta świątynia jest znakiem misterium Kościoła, który Chrystus uświęcił Krwią swoją, aby był Jego Oblubienicą pełną chwały, dziewicą jaśniejącą czystością wiary, Matką dającą życie mocą Ducha Świętego. Kościół święty jest wybraną winnicą Pana, który cały świat obejmuje swoimi gałązkami, mocą krzyża podnosi swoje słabe dzieci i wprowadza do Królestwa niebieskiego. Kościół szczęśliwy jest mieszkaniem Boga z ludźmi, przybytkiem świętym zbudowanym z żywych kamieni, stoi na fundamencie Apostołów, na kamieniu węgielnym, którym jest sam Jezus Chrystus. Kościół wspinały jest miastem położonym na górze, widocznym dla wszystkich, w nim bowiem jaśnieje odwieczne światło Baranka i rozbrzmiewa wdzięczny śpiew błogosławionych. Dlatego pokornie prosimy Cię Panie, zeslij pełnię błogosławieństwa na ten kościół i ołtarz, aby zawsze był miejscem świętym i stołem przygotowanym dla składania Chrystusowej Ofiary. Niech tutaj źródła łask zmywają ludzkie winy, aby dzieci Twoje, Ojczy, umarłe dla grzechu, rodziły się na nowo do życia Bożego. Niech Twoi wierni, zgromadzeni dokoła ołtarza, sprawują pamiątkę paschy i posilają się*

przy stole słowa i ciała Pańskiego. Niech wznosi się tutaj miła Tobie ofiara chwały, a głos ludzi, złączony ze śpiewem Aniołów, niech rozbrzmiewa w nieustannej modlitwie za zbawienie świata. Niech tutaj ubodzy znajdują miłosierdzie, uciśnieni prawdziwą wolność, a wszyscy ludzie niech przyoblekają się w godność Twoich dzieci aż osiągną szczęśliwie radość życia wiecznego w Niebieskim Jeruzalem. Przez Jezusa Chrystusa Twojego Syna, który z Tobą żyje i króluje w jedności Ducha Świętego, Bóg przez wszystkie wieki wieków. Amen.

Następuje liturgiczny obrzęd poświęcenia ołtarza i ścian kościoła. Biskup, stojąc przed ołtarzem, wznosi błagalną modlitwę: *Niech Bóg uświęci swoją mocą ten ołtarz i kościół, który namaszczone jako Jego słudzy, aby wyrażały tajemniczy związek Chrystusa i Kościoła.* Biskup namaszcza olejami Krzyżem świętego środek mensy ołtarza i jej cztery naroża. Następnie podaje naczynie z Krzyżmem kanclerzowi kurii, który z woli Biskupa namaszcza mury kościoła, czyniąc znak krzyża na dwunastu krzyżykach, tzw. zacheuszkach, umieszczonych na ścianie świątyni. Wierni śpiewają: *Weź w Swą opiekę nasz Kościół święty.* Namaszczenie ołtarza i ścian kościoła było znakiem, że kościół ten będzie od tej pory miejscem szczególnej modlitwy. Następuje obrzęd okadzenia kościoła: cztery naczynia z rozżarzonymi węglami postawiono na ołtarzu. Biskup nakłada do nich i do kadzielnic kadzidło. *Niech nasza modlitwa wznosi się przed Tobą Panie jak kadzidło. A jak ta świątynia napęlnia się miłą wonią kadzidła, tak niech ten kościół promienieje świętością Chrystusa* – mówi Biskup i okadza ołtarz. Chór śpiewa modlitwę, a ludzie odpowiadają: *Nasza modlitwa jest jak woń kadzidła.* Teraz Kanclerz okadza lud i „nawy” kościoła. Ołtarz zostaje przykryty białym, misternie haftowanym obrusem z wylogami na otoku w formie kampanuli, na których widnieją litery *Alfa* i *Omega*. Nań nałożony zostaje drugi biały obrus. U dołu na antepedium ołtarza widnieje symboliczna tarcza z literami *X P*. Biskup zapala świece i modli się: *Niech w kościele jaśnieje światło Chrystusa, aby wszystkie ludy osiągnęły poznanie prawdy.* Następuje iluminacja kościoła (zapalają się wszystkie światła).

Liturgia Eucharystyczna

Rozpoczyna się Liturgia. Odprawia ją 18 księży w koncelebrze wraz z ks. Biskupem: m.in. ks. dr Karol Dziubaczka – kanclerz kurii biskupiej, ks. Władysław Ryś – założyciel kaplicy w Sowlinach, wówczas proboszcz w Trzcianie, ks. kan. Władysław Ślęk, o. Hubert Kostrzański, opat szczyrzycki, ks. prał. Józef Poręba – proboszcz kościoła i macierzystej parafii MB Bolesnej w Limanowej, z której narodziła się parafia św. Stanisława Kostki w Limanowej-Sowlinach i wielu innych. Pozostali księża w dwóch rzędach siedzą wzdłuż ściany prezbiterialnej. Następuje przygotowanie darów ofiarnych. Do ołtarza zbliżają się: Dzieci komunijne, które składają ornaty, w których sprawowana jest Najświętsza Ofiara Mszy św.; Młodzież parafii składa jako dar kielich mszalny; Nauczyciele trzech szkół (Szkoły Podstawowej nr 2, Liceum Medycznego i Zespołu Szkół Ekonomicznych) niosą puszkę na Komunię Świętą. Rodzice przynieśli dar pieniężny na rozbudowę Seminarium Duchownego w Tarnowie. Dar ten przekazują: p. Zofia Dutka oraz pp.: Michał Drożdżak i Władysław Wikar, którzy od początku byli przy budowie kościoła i stali się poniekąd „jej nestorami” – stwierdził ks. Ryszard Stasik. Podczas podniesienia rozlegają się uroczyste fanfary. ▶



► Chór śpiewa pieśń: *Głoście Chwałę Mocarze...* do muzyki Mikołaja Gomółki. Tysiące wiernych przystępuje do Stołu Pańskiego. Komunia Święta rozdawana jest przez kapłanów w wielu miejscach: w kościele, na chórze, przed kościołem na tarasie, w kościele dolnym. Podczas komunii chór i orkiestra wykonują pieśni. Pod koniec uroczystości następuje przeniesienie Pana Jezusa do Tabernakulum, znajdującego się w prezbiterium. Chór i wierni śpiewają pieśń: *Wielbię Ciebie w każdym momencie, o Żywy Chlebie nasz w tym sakramencie*. Zespół na pasterskich dzwonek wykonuje pieśń Maryjną: *Gwiazdo śliczna wspaniała...* na przemian ze śpiewem wiernych. Jedną z miejscowych rodzin, jako reprezentantka parafii wraz z wiernymi, siostrami zakonnymi, księżmi oraz z ks. Biskupem uczestniczy w adoracji Najświętszego Sakramentu. Biskup zamyka drzwiczki do tabernakulum.

Ceremonia zakończenia – pożegnanie

Jeden z przedstawicieli młodzieży, wyrażając Ekscelencji podziękowanie za Ojcowskie Błogosławieństwo, mówi tak: *Zostawiłeś w nas Arcypasterzu ślad Twojej obecności poprzez poświęcenie naszej świątyni. Ufamy, że podobny, niezatarty ślad pozostanie w naszych sercach. Serdecznie dziękujemy za ten dar i prosimy o Twoje Ojcze błogosławieństwo*. Następnie głos zabiera Proboszcz: „Na koniec pozostał mi bardzo miły obowiązek podziękowania Wszystkim. Najpierw ks. Biskupowi, że przy tym ogromie pracy miał czas być z nami i modlić się i wzmocnić nas i złożyć Ofiarę Chrystusa w naszej intencji. Ojcu Opatowi – Ojcu wspólnoty zakonnej, aby ten przyjazd do Sowlin był zapoczątkowaniem ściślejszej więzi, a może wzbudzenia powołań cysterskich. Ks. Kanclerzowi obecnemu tutaj i temu, któremu podlegaliśmy tyle lat i temu, który dzielił te różne bóle, te różne troski w sprawie budowy naszej świątyni, a równocześnie na ręce ks. Kanclerza Wszystkim Koncelebransom oraz Wszystkim przedstawicielom kurii za wieloraką pomoc materialną, prawną i wszelką inną. Wszystkim kapłanom według urzędu i godności, siostram zakonnym z różnych zgromadzeń, składam podziękowanie na ręce Prowincjonalnej Siostr Dębickich [Franciszek Rodziny Marii z Dębicy] Elizy Sułkowskiej, naszej rodaczki i równocześnie za złożony dar. Przedstawicielom władz i parlamentu, gospodarzowi naszego województwa panu Józefowi Jurgiewiczowi za przyjęcie mnie i serdeczną rozmowę i troskę o wielorakie sprawy naszego regionu. Senatorom, pani kurator Helenie Gościewej, senatorowi Jurkiewiczowi, Przewodniczącemu Zarządu Małopolskiej Solidarności, panu Krzysztofowi Pawłowskiemu, który od wielu lat darzy nas wielką przyjaźnią, posłowi Stanisławowi Rakoczemu, panu Andrzejowi Szkaradkowi, przewodniczącemu Solidarności nowosądeckiej, władzom lokalnym, panu burmistrzowi, władzom regionu, dyrektorom szkół [...]. Dziękuję Wam dyrektorzy za piękną współpracę i pomoc w urzędzeniu tej uroczystości, pocztom sztandarowym, Solidarności limanowskiej z przewodniczącym Janem Sułkowskim oraz wszystkim strażom pożarnym [...], zespołom, chórowi młodzieżowemu, chórowi męskiemu, orkiestrze, scholi, całej służbie liturgicznej naszej tak utrudzonej w tych dniach [...]. Dziękuję najbardziej Tobie Ludu Boży, który niosłeś ciężar tej budowy przez wiele lat z nadzieją, by ta budowa zyskała zewnątrz piękny kształt. Wszystkim, którzy ofiarowali modlitwę, cierpienie i datki z różnych stron włącznie z zagranicy. Bóg zapłać! Serdecznie Bóg zapłać!”

Przemawia teraz ks. Biskup: *[...] Przed dwoma laty konsekrowaliśmy kościół w Dobrej, a w tym roku Dobra cieszyć się będzie 2 prymicjami. Niech to będzie jakiś znak dla tutejszej parafii. [...] Ale można by sobie życzyć, by to liczne grono kapłanów i siostr zakonnych miało swoją kontynuację [...]. I na to Wam teraz błogosławię. Pan z Wami i z Duchem Twoim. Niech imię Pańskie będzie błogosławione. Teraz i na wieki. Wspomożenie nasze w imieniu Pana, który stworzył niebo i ziemię. Niech Was Błogosławi Bóg Wszechmogący, Ojciec i Syn i Duch Święty. Amen. Idźcie w pokoju Chrystusa. Bogu niech będą dzięki*. Chór śpiewa pieśń. *Regina caeli laetare, Alleluja*. Proboszcz prosi, by ks. Biskup poświęcił jeszcze plebanię, „byśmy nie bali się tam mieszkać” – jak stwierdził żartobliwie i dodał, że duchowe przygotowanie parafii to była sprawa ks. kan. Stanisława Burzawy z Zalesia, któremu wobec Was Wszystkich bardzo dziękuję. Biskup wychodząc, błogosławi stojące w nawie dzieci.

Na podwórku kościelnym, przy rozstawionych stołach, zastawionych smakowitymi wypiekami pań sowlińskich, można się było posilić po zakończeniu duchowej uroczystości.

P.S. Opisując teraz, po 25 latach uroczystość konsekracyjną kościoła, dopełniłem poniekąd obowiązku, a przynajmniej po części zmyłem z siebie grzech zaniedbania, polegający na tym, że wówczas nie sporządziłem sprawozdania z tej uroczystości. Ale nie byłoby to możliwe, gdyby nie mądrość i kunszt fotograficzny p. Zbigniewa Grochota oraz p. Franciszka Natanka, którym nie tylko ja i redaktor naczelny „Echa Limanowskiego” Stanisław Ociepka, lecz także cała parafia sowlińska jest bardzo wdzięczna za wykonanie tych zdjęć, specjalnej kroniki ukazującej konsekrację kościoła. Również niezmiernie wdzięczny jestem p. Zbigniewowi Grochotowi za szereg ważnych, niezbędnych informacji oraz za otrzymane od Niego płytki DVD. Otóż, dzięki zapobiegliwości ks. kan. Jana Bukowca, który zlecił p. Tadeuszowi Wojsowi wykonanie dwuczęściowego filmu, mogłem odtworzyć ciąg zdarzeń przeżywaną wówczas uroczystości, a także usłyszeć i odtworzyć niemal w całości słowa homilii nieodżałowanego ks. bp. Józefa Życińskiego – biskupa tarnowskiego, konsekrata sowlińskiej świątyni. Niechaj to sprawozdanie służy pokoleniom, a w szczególności tej jego części, która zamieszkuje ten piękny skrawek ojczystej ziemi, a którą przybywający tutaj coraz częściej pielgrzymi, turyści i artyści (m.in. śpiewacy operowi i aktorzy) nazywają uroczko i chlubnie „polską Szwajcarią”.

Fotografie: Zbigniew Grochot, Franciszek Natank

¹ J.Sz. W r o ó s k i , *Nowy kościół w Limanowej - tradycja i nowoczesność*, „Gazeta Krakowska” [Ekspres Nowosądecki], R.XLV, nr 107 (13719) z 12 maja 1993; t e n ż e , *Okręt Chrystusowy*, „Dziennik Polski” [Dziennik Nowosądecki], R.XLIX, nr 110 (14 872), z 15, 16 V. 1993, s. 8; t e n ż e , *Kościół konsekrowany*, „Czas Krakowski” (Wyd. C. - N. Sącz), R.IV, nr 112 (856), poniedziałek 17 V. 1993, s. 12.

² J.Sz. W r o ó s k i , *Okręt Chrystusowy*, „Dziennik Polski”, op. cit., s. 8.

Słowo pasterskie wygłoszone w czasie uroczystości przez ks. bp. Józefa Życińskiego przedstawimy w następnym numerze „Echa Limanowskiego”

To co najtrudniejsze – czyli zdobywanie funduszy na budowę świątyni limanowskiej

Wiele osób zastanawia się dzisiaj, jak to było możliwe, aby wybudować tak okazały monument, którym jest limanowski kościół w biednym galicyjskim miasteczku, jakim była na przełomie XIX i XX wieku Limanowa, licząca około 1500 mieszkańców. Wprawdzie parafia limanowska w ówczesnych czasach obejmowała również tereny: Starej Wsi, Mordarki, Sowlin, Lipowego oraz pozostałych przysiółków, to jednak ogromna odwaga oraz niezłomność w działaniu ks. Kazimierza Łazarskiego, pozwoliła na wybudowanie tak dużej i pięknej architektonicznie świątyni.

Pomimo ogromnych trudności finansowych jak i toczącej się I wojny światowej po siedmiu latach (1911-1918) heroicznej budowy na kilka dni przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości, ks. Łazarski, 6 października 1918 r. poświęcił kościół i odprawił w nim pierwsze i zarazem dziękczynne nabożeństwo różańcowe.

Zanim do tego doszło, musiał pokonać wiele trudności, ale po kolei.

W marcu 1891 roku zostaje powołany Komitet Budowy Kościoła, a 3 maja tegoż roku podczas uroczystego

nabożeństwa, przeprowadzono pierwszą składkę na rzecz budowy kościoła. Jednak budowę limanowskiej świątyni rozpoczęto dopiero 20 lat później w roku 1911. Do tego czasu mozolnie gromadzono fundusze, ale zebrana kwota pieniędzy nie zabezpieczała możliwości realizacji tak ogromnego przedsięwzięcia, którego podjął się ks. Kazimierz Łazarski.

W publikacji dr. Józefa Szymona Wrońskiego, zatytułowanej: „Bazylika Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej” w rozdziale „Akcje społeczne wspierające

budowę” zostały opisane sposoby gromadzenia funduszy na budowę kościoła. Nieco dalej w tej poczytnej publikacji w podrozdziale „Pierwsza faza – podjęcie budowy”, dowiadujemy się o pierwszych trudnościach pozyskiwania środków pieniężnych na budowę świątyni, m. in. możemy w tym rozdziale przeczytać: *Niestety, skala przedsięwzięcia spowodowała, że zaczęły pojawiać się poważne trudności, które przypadają na rok 1913 i pierwsze miesiące roku następnego. Powodem była odmowa wpłaty sumy przypadającej na Fabrykę Rafinerii Nafty w Sowlinach do kasy parafialnej. Towarzystwo Akcyjne tej fabryki „Światło i Siła” zakwestionowało wysokość tej sumy (69 tys. koron) i odmówiło jej wpłaty. Towarzystwu nie przysługiwało jednak prawo odwołania się od decyzji władz administracyjnych, toteż intrygowało i agitowało mieszczan do wniesienia takiego odwołania, czyli* ►



Na placu przykościelnym licznie pracujące kobiety zwożą ziemię pod nasyp. Zdjęcie wykonane w czasie I wojny światowej

► tzw. rekursu. Następnie nakłoniło ono posłów Stronnictwa Ludowego do wniesienia zażalenia do Parlamentu Austriackiego w Wiedniu. Walka rozgorzała na dobre i nabrała szerokiego rozgłosu. Ukazały się artykuły prasowe, świadczące o skomplikowanej sytuacji finansowej budowy kościoła i relacjonujące o machinacjach, intrygach oraz szkodach wyrządzonych przez Towarzystwo. Sprawa ciągnęła się przez szereg lat (...).

O konflikcie tym pisała 104 lata temu m. in. „Gazeta Podhalańska” (marzec 1914 r.). W cyklu trzech listów do redakcji, które ukazały się w kolejnych wydaniach tej gazety, limanowscy parafianie wyartykułowali swoje niezadowolenie wobec niezrealizowania zobowiązań finansowych Rafinerii Nafty w Sowlinach wobec limanowskiej parafii.

Odnalazłem te artykuły, prowadząc kwerendę gazet z przełomu XIX i XX wieku, które kolejno (w oryginalnej pisowni) prezentuję Czytelnikom „Echa Limanowskiego” w związku z 100. rocznicą poświęcenia naszego kościoła, dzisiaj bazyliki.

Gazeta Podhalańska z 15 marca 1914 r., nr 11

Czytaliśmy w „Głosie Narodu” o sprawkach zarządu tutejszej fabryki rafinerii nafty, który chciałbym prze-forsować swój rekurs przeciw konkurencji w radzie gminnej, bo samej fabryce jak się dowiedzieliśmy, takie prawo rekursu nie przysługuje. Że prawda w oczy kole, więc nic dziwnego, że to, co donosił „Głos Narodu”, zarząd ten bardzo ubodło. Pan pisarz (a kto nim jest, dobrze o tem wiemy) chciał zrobić linię prostą, ale prostując, nagiął ją tak, że linia trzasła. Powiadasz, panie pisarzu, że gdyby wasza centrala we Wiedniu zapłaciła na kościół sumę, jaka na nią przypada, to „savoir vivre” przyznaliby



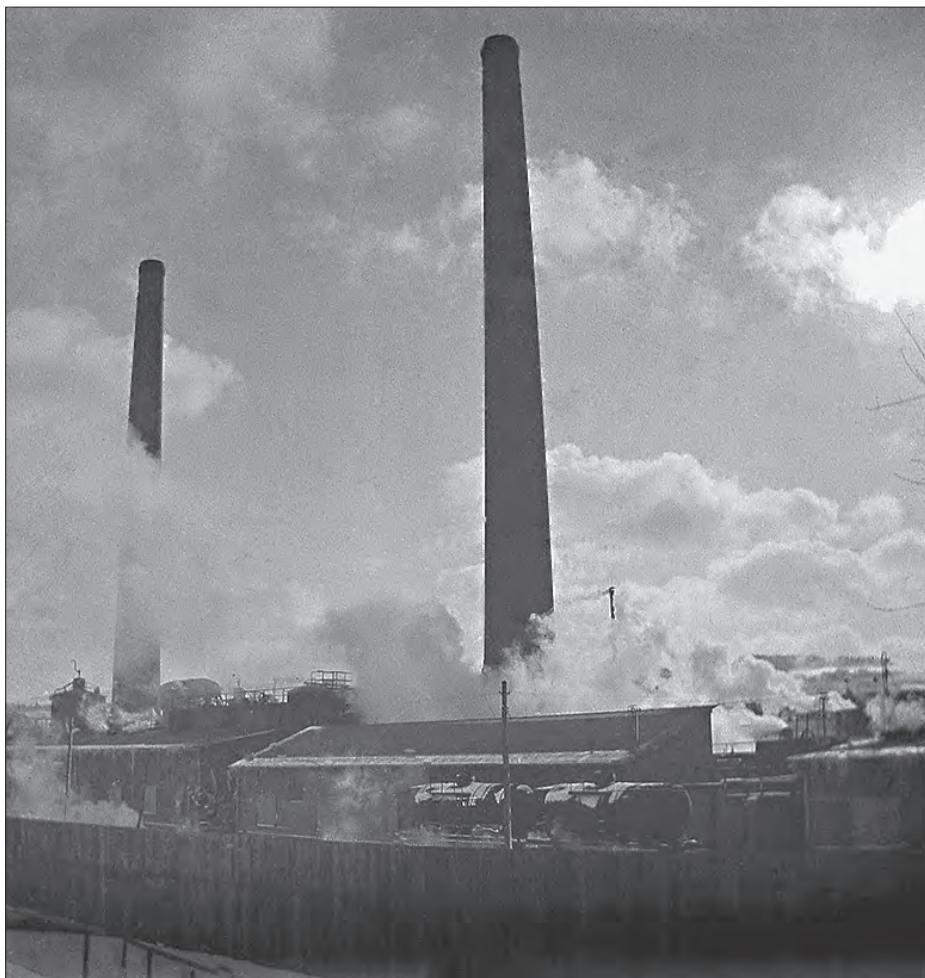
Widok od strony Potoku Starowiejskiego na budowany kościół limanowski: tuż po zakończeniu pracy przy więźbie dachowej nad prezbiterium - 1914 rok

wam zaraz ci, którzy po tę zapłatę sięgają. Mylisz się bardzo! My, chłopci, nie rozumieliśmy, co oznacza jakieś „savoir vivre”. Zapytaliśmy się przeto uczonych ludzi, a ci znowu wyłożyli nam, że zna-czy to umieć się z ludźmi grzecznie ob-chodzić, być rzetelnym i słownym, czyli jak my to chłopci powiadamy: *znać się na moresie* (mores – to karność, rygor, subordynacja – przyp. red.). Ale wam mówić o tem wszystkim, tak, jak ślepe-mu o kolorach. Gdy się odbywała roz-prawa konkurencyjna, było nas wielu

zebranych, koło plebanii, a po skończo-nej rozprawie z ciekawości wypytaliśmy się tak naszych delegatów, jak księży i panów o wszystko. Powiedziano nam, że pan dyrektor fabryki Poupard słowem zaręczył proboszczowi, że Wasza centrala rzetelnie zapłaci wszystko, co na nią wypadło, a w kilka dni potem cóżecie panowie zrobili? Chyłkiem, jak lis po kury, pojechaliście, na Mordarkę do Jaśka Szewczyka i namówiliście nierozumnego młokosa do wniesienia re-kursu, bo wam samym wnosić rekurs jakoś wstyd było. Zapłaciliście adwo-kata za jego rekurs i daliście jeszcze coś więcej. My, według naszego chłop-skiego moresu powiadamy: „*rzekniesz słowo – kobyła u płotu*”, zaś danem słowem, którego nie dotrzymasz, nie wprowadzaj nikogo w błąd i nie wy-stawiaj „*na dutka*”. Żli ludzie - szydercy znajdują się wszędzie: Dosyć ucierpiał od nich honor i godność tych, którzy zawierzyli waszemu „savoir vivre”. Do Potoka z takim francuskim „savoir vivre” – i to wtedy, kiedy mętny płynąc, różne niesie brudy.



Winieta „Gazety Podhalańskiej” z 1914 roku.



Rafineria w okresie intensywnej produkcji przed I wojną światową

Piszesz, że p. dyrektor Poupard po to został przez spółkę wydelegowany, aby na rozprawie zebranych stron konkurencyjnych zaprotestować przeciw temu, że ks. kanonik bez najmniejszego upoważnienia osób, do których kieszeni sięga i apeluje, stawia kościół za przypuszczalną sumę 500 000 Koron.

Takimi bzdurstwami sami się tylko ośmieszacie – panie pisarzu! Wszystko było zrobione według prawa, bo nad tem czuwają władze, a w pierwszym rządzie c. k. Starostwo. Skąd tobie w głowie się wzięła ta przypuszczalna suma 500 000 K – gdy uchwalono kwotę tylko 200 000 K? Jak na dzisiejsze czasy, co można za tę kwotę postawić, skoro budowa domu, w którym p. Poupard mieszka, mało co mniej od tego kosztuje; że zaś kanonik może sobie stawiać kościół za milion i więcej – co nas to lub kogo obchodzić może, skoro cała wysokość datku konkurencyjnego tylko od kwoty 200 000 na wszystkich parafian odpowiednio do opłaconego podatku przypada?

Że na francuską, spółkę suma 70 000 K wypadła – to zwalajcie za to winę

na rząd, a nie na księdza, bo nie ksiądz, ale c. k. rząd wymierzał wam podatek, od którego taka kwota zapłaconą być musi. Nie ksiądz więc apeluje do czyjej kieszeni, ale moc ustawy. Ale pomówimy o tem jeszcze więcej.

**Gazeta Podhalańska
z 22 marca 1914 r., nr 12**

Teraz pytacie, czy sprawiedliwą jest rzeczą, by towarzystwo „Światło i siła” taką sumę na kościół płaciło?

Otóż słuchajcie!

Nasi delegaci już wtedy chcieli Wam słowo prawdy powiedzieć, które my tu wypowiemy w krótkości.

Z powodu waszej fabryki poszły ceny robotnika i materiału w górę. Płaciliście przy jej budowie na której szybkim, wykonaniu wam zależało, wysokie ceny, do których tak kupiec jak i robotnik przywykli, zrobiliście w parafii fabryczną osadę i spowodowali drożyznę, zwiększyła się ludność o 200, co spowodowało zmianę dawniejszego kosztorysu i planów kościoła, które były wygotowane jeszcze przed postawieniem waszej fabryki.

Wybudować trzeba było większy kościół od zamierzonego pierwotnie. Prawda, że niektórzy z waszych obejść się mogą i obchodzą bez tego kościoła, ale obejść się nie może bez niego ten robotnik, którego potrzebujecie. On ma jeszcze wiarę w sercu, dlatego też wieczorami – jak to niejedną raz widzieliśmy – ciągnie całymi dziesiątkami do kościoła, a nasi kapłani załatwiają jego potrzeby duchowe czasem do późnej nocy. Zabraliście kawał parafialnego cmentarza, na którym wielu jest pogrzebanych tych, co zawczasie legli w grobie, bo zdrowie i siły w waszej stargali fabryce. Założono szkołę, do której przeważnie dziatwa z fabryki uczęszcza nadto okazała się potrzeba trzeciego księdza, któryby uczył dziatwę Boga się bać i przykazania Jego wypełniać, aby nie wyrosły na gorszyce, niedowiarków, co nieraz siwowłosemu ojcu przynoszą wstyd i zmuszają go do tego nawet, by się ich zaparł.

Dalej – zatruliście zdrowe, nasze górskie powietrze i czystą wodę naszych potoków, ale stokroć, gorsze – to moralne zatrucie i zamieszanie szczęścia w naszych rodzinach, czego sprawcami jesteście – nie kto inny, jak tylko wy. Za to wszystko, cośmy wam tu tylko powierzchownie podali, spółka wasza powinna zapłacić nie ośmiokrotnie, ale dwudziestokrotnie i to jeszcze nie byłoby dostatecznym zadośćuczynieniem.

A teraz... jeszcze jedno pytańko. Panie pisarzu! komu to z nas parafian sprzedano konia, czy krowę na budowę kościoła lub zniewolono gwałtem do tego?

Może byś mógł nam wskazać choćby po nazwisku?

Zapłaciliśmy część przypadającą na nas i zapłacimy resztę bez tego, co podajesz jako nieprawdę. Ale skoro „nowy przyjacielu ludu” tak ubolewasz nad tą chłopską niedolą, to zapytujemy: co gorsze, czy ta bieda nasza z powodu sprzedania bydłęcia, czy też życia ludzkiego utrata?

Wpadł w nieogrodzony dół ze wrzącą wodą śp. Kubicki i stracił tam życie. Po ojcu pozostała nieopatrzone żona i sieroty. Wydaliście na proces tysiące, a co daliście biednej sierocie? Niedługo potem oparzył się znowu człowiek do połowy ciała. Wił się i jęczał z bólu na twardym łożu, mając słomianą poduszkę pod głową. Leżał tam biedaczysko, a pilnował i opiekował się nim nie lekarz, ale chemik. Powleczono go na prostym w osłonach wozie na dworzec kolejowy, przykrytego ▶



Rafineria Nafty w Sowlinach

► zwykłą derą. Co musiał dopiero ścierpieć! Ale to nie obchodziło ani ciebie, panie pisarzu, ani prześwietny zarząd, mimo, że mienicie się przyjaciółmi i obrońcami biednych i pokrzywdzonych!

Pytam was: czy są u was ochronki, ludzie odpowiednio ukwalifikowani do oddania pierwszej usługi uległym wypadkowi, są wozy sanitarne, jak po innych fabrykach?

Ale pamiętajcie, że przyjdzie czas, że to wszystko poruszymy tam, gdzie potrzeba!

Co za obłuda pisać, że parafianie nie mają środków na wzniesienie rekursu przeciw rzekomo dziejącej się im krzywdzie. A przecież dawaliście nam te środki, jak już powiedzieliśmy, za darmo! Za podawanie nam tych środków czy pamiętacie, co was spotkało na radzie gminy? Może jeszcze huczy w uszach p. Kropaczkowi od tego, jak nasi chłopci wołali, że po naszych trupach pójdziecie, ale wam rekursu na kościół nie uchwalimy i nie podpiszemy.

A z Józefem Jeżem co było? Odsyłając cichaczem spisany przeciw kościołowi rekurs, wsunęliście mu w złocie 40 K. Czemu nie 30 i to srebrników, byłoby, podobnie, jak z Judaszem? Sprawę oddaliśmy Starostwu do spisania protokołu i zażądaliśmy oddania jej c.k. Prokuratury.

W Gorlicach, w Maryampolu, w Trzebini, stawały się kościoły i wypadła na tamtejsze rafinerie większa zapłata, nawet Żydzi w Drohobyczu płacili! na kościół, a czy coś podobnego tam było? Hańba! Wstyd, aby tak postępowano w spółce, która w świecie całym jest znaną i za pierwszą uchodzi!

Ale – nie koniec na tem!

Gazeta Podhalańska z dnia 29 marca 1914 r., nr 13

W swoim sprostowaniu, panie pisarzu, nad tą sprawką, dałeś susa takiego, jak ścigany zając – powiedziawszy coś ni w pięć, ni w dziesięć, że uważacie poniżej waszej godności zajmować się tem czyście chcieli kupić sumienie wójta, czy radnego za 20 koron.

Ale skoro ta godność Wasza tak wielka – to dlaczego z tą godnością powlekliście się do wójta na Mordarkę i podawaliście mu znowu środki do wniesienia rekursu. Zaprawieni na młodym Jaśku Szewczyku, sądziliście, że w sumienie Mordarczan wlezie wszystko, jak w dziadowską torbę. Wójt odpowiedział wam tak, że z tego wynikało, iż on zostaje w izbie, a wasza wysoka godność za izbą – i progiem.

Kto wtenczas stał wyżej, a kto poniżej – wójt, chłop prosty, ale uczciwy, czy też Wasza godność?

Powiadacie, że nie było waszym zamiarem odzywać się publicznie w tej sprawie, ale ataki na was zmuszają was, do obrony.

I my nie pisalibyśmy o tem, a najlepiej świadczy o tem to, że pomimo tylu sprawek, nie pisaliśmy do gazet, ale we wszystkim przeberze się miarka, a przebrała ją sprawka z Józefem Jeżem. Powiadacie, że do ostatnich instancyj z obroną pójdziecie.

I my pójdziemy. W Sejmie, w Kole polskim, w parlamencie przez posłów wszystko wywlecemy, z żalami naszymi staniemy, gdy wypadnie, nawet przed tronem naszego katolickiego monarchy. Byliśmy kilka razy całą gromadą w starostwie, chcieliśmy pójść wyżej, ale nas uspokojono, że słuszna sprawa wygrana być musi.

Przyjdzie czas i na to, że nikt, żadne dziecko nasze na robotę do fabryki nie pójdzie. Że postawić się umiemy, jak trzeba, o tem na radzie gminnej przekonać się mogliście.

„Ryba cuchnie od głowy”. Był tu dyrektorem Francuz p. Viannett, aleście go wygryźli. Był dobrym człowiekiem – przykładowym katolikiem, widywaliśmy go w kościele. Żył z ludźmi, pozwalał robotnikom na przedstawienia i zabawę, z których dochód szedł na różne dobroczynne cele. Wypadków we fabryce i skarg nie było.

Wy drażnić tylko ludzi umiecie. Zabraniacie waszym pod groźbą utraty służby wdawać się z nami, żeby o tem co we fabryce się dzieje, nie dowiedział się świat. Głupstwo! Gościniec koło fabryki zbudowany górnice, a jak na nim stanie p. Rotter zobaczy wszystko, bo wysoki chłop z niego i wie, gdzie patrzeć trzeba. Z ludźmi trzeba umieć żyć, bo się to na sprawie ciężko nieraz i z wielkimi staraniami odbija. Dryndula o jednym koniu, na którą po drabinie wylazić trzeba, z pudłem dobrem na kurze gniazda tego nie zastąpi.

Prosimy takich, co to umieją, aby o tem pisali we francuskich gazetach, a będzie do pisania wiele. Niech ta główna spółka się dowie, jakie z tego wszystkiego zbiera korzyści i jaki jej tu wyrabiają honor.

**Materiały opracował:
Stanisław Ociepka
Fotografie: arch. albumu
„Okruchy pamięci”**

O wszystkim po trochu

Antoni Mamak

Jestem stałym czytelnikiem „Echa Limanowskiego”, czytam go od deski, do deski, co dobrze świadczy o wydawanym dwumiesięczniku.

Jak zwykł mówić Zagłoba (nie chwalać się), czasem udaje mi się wcisnąć do „Echa” swoje trzy grosze.

W numerze styczniowo-lutowym z 2018 r. ukazał się artykuł zatytułowany: „III Spacer Historyczny po Limanowej”. Autor w tym artykule opisując historię budowy naszego kościoła, m.in. wspominał, iż robiąc plac pod tą nową świątynią, w roku 1910 został ostatecznie zlikwidowany cmentarz przy starym drewnianym kościele. Cytuję: *likwidacja ta nie polegała jak się niektórym wydaje na ekshumacji wszystkich szczątków, tylko na nadsypaniu terenu dużą warstwą ziemi*”.

Fakt ten chciałem sprostować i uzupełnić. Z opowiadań mojego ojca Franciszka Mamaka (1862-1945) zapamiętałem, że jako 50-letni mężczyzna brał czynny udział przy rozbiórce starego drewnianego kościoła i budowie nowej świątyni. Wielokrotnie powtarzał nam, że szczątki ludzkie z przykościelnego cmentarza zostały zebrane, złożone do drewnianych skrzyń i umieszczone głęboko pod posadzką podziemia naszej obecnej bazyliki.

Chciałbym się również odnieść do drugiej części zdania, a mianowicie grubej warstwy ziemi, jaka wypełniała przestrzeń pomiędzy murami oporowymi od strony Potoku Starowiejskiego. Skąd ta ziemia pochodzi?

Przytoczę tu autentyczne słowa, jakimi zwracał się ks. Kazimierz Łazarski do wiernych w kościele: „*Niech każdy kto może chociaż jedną furkę ziemi przywiezie ze swojego zagonu*”. Tak więc pamiętajmy, ta ziemia, po której chodzimy, to dar limanowskich rolników. Przytoczone tu wspomnienia mojego ojca i słowa ks. Łazarskiego są prawdziwe i były przekazywane kolejnym pokoleniom, jako duma z faktu włączenia się szerokich rzesz prostych ludzi w budowę wspaniałej naszej świątyni.

Zadaję sobie czasem pytanie, na które nie umiem do końca odpowiedzieć. Dlaczego nasz kościół stanowi wyjątek i wielki ołtarz jest zwrócony w kierunku zachodnim, kiedy kościoły budowane są w ten sposób, że wielki ołtarz jest zwrócony w kierunku wschodnim i tak było i u nas przy starym drewnianym kościele.

Z opowiadań mojego ojca wynikało, że zaprojektowano go tak ze względów bezpieczeństwa, ponieważ duży nasyp ziemi, nie mógłby utrzymać olbrzymiego ciężaru wieży.

Proszę o wyjaśnienie Pana dr. Szymona Józefa Wrońskiego, znawcę budowli sakralnych, czy takie wyjaśnienie jest prawdziwe, a może przyczyny były inne, ale jakie.

W ostatnim wydaniu „Echa Limanowskiego” (nr 282-283, marzec-kwiecień, 2018 r.) ukazał się artykuł pt. „*Onomastica ilmanoviensis*”, jest to bardzo ciekawy artykuł, zachęcam autora do dalszego szerszego rozwinięcia tego tematu. Dziś nasze dawne nazwy już giną. Kto z młodych limanowian wie, że do Nowego Sącza jedzie się przez *Gwizdówkę, Cieniawę, Klucok*, a na Starej Wsi jest przysiółek *Požary*, miejsce straceń Żydów w czasie okupacji hitlerowskiej, zaś na zboczach góry Gólców jest piękny widok na przysiółek *Majeż*. Za Łysą Górą jest *Sarczyn*, dawniej to osiedle było całkowicie odcięte od świata, jedyna wąska droga do miasta prowadziła przez Łysą Górę. Dzisiaj jest tam zimowy kurort, a powyżej znajduje się *Kopciówka*, przedwojenne rodzinne gniazdo naszych Cyganów.

Czas płynie beztłonie, ulegają zapomnieniu dawne zwyczaje, obrzędy i bardzo trafne nazwy oraz określenia. Ja urodziłem się na Granicach Pod Górą, przy drodze Średniej. Pewnego dnia przyszła do naszego domu „*krajzbabka*” (akuszerka – przyp. red.). *Baby o tym wkoło godały, oho! Do kumoski przyszła Polsko*. Polsko miała dużo roboty, toteż chałupy były pełne *dziecek*. Teraz nadal mieszkam w tym samym miejscu, ale już przy ulicy Leśnej. Nie wiem dlaczego nazywa się Leśna. Ulica ta nie biegnie przez las, a kończy się dokładnie tam, gdzie las się zaczyna.

W naszych stronach jeszcze nie tak dawno był zwyczaj nadawania osobom przydomków (pewnego rodzaju pseudonimów). Były one nieraz trafne, śmieszne a nawet obraźliwe. Zwyczaj ten nadal istnieje na Podhalu. Miały one także

dobrą stronę – pomagały nieraz odszukać o kogo nam chodziło. Bo jak można było dowiedzieć się kogo szukamy, kto jest kto, jeśli we wsi było na przykład trzech gospodarzy o tym samym imieniu i nazwisku. Przewiska czasem okazywały się konieczne i pożyteczne, a nawet niekiedy ratowały życie.

Oto kilka przykładów. W czasie okupacji do naszego sąsiada przyszła policja granatowa, aby go aresztować. Pytają sąsiadów wkoło, gdzie mieszka Józef Bulanda, nikt nie wiedział o kogo chodzi, nawet szpicel. Potem okazało się, że był on wszystkim znany, ale pod przewiskiem „*Lajciu*” i to go uratowało.

Śmieszna przygodę miałem i ja. Jako jeszcze mały chłopiec, mama dała mi kawałek lnianego płótna na „*portki*” i kazała zanieść do krawca. Krawiec mieszkał niedaleko od naszego domu. Wchodzę do krawca i mówię: *Niech będzie pochwalony, panie „Jus”, mama kazali was poprosić, żebyście uszyli mnie portki*. Krawiec zerwał się od maszyny i krzyknął! *Wynoś się gówniarzu*, uciekłem, a w domu poskarżyłem się mamie, a Ona mówi: *no tak, zapomniałam ci powiedzieć, że krawiec nazywa się Kądziołka*.

Mojego ojca Franciszka nazywali „*Ciec*”. Mały Franuś, syn sąsiada Bulandy, zwracając się do mojego ojca, który był jego chrzestnym ojcem nie mógł wypowiedzieć tych słów, tylko samą ich końcówkę „*Ciec*” i tak już zostało.

Nasz niedaleki krewny miał zwyczaj powtarzać słowo „*dobrodzieju*”, no i został nazwany „*Dzieju*”, bliski zaś sąsiad miał przewisko „*Bacok*”, złościł się o to bardzo, gonił nas batem. W zakładzie budowlanym PBO Podhale pracowałem z jednym górale, który mieszkał na Gubałówce. Zapraszał mnie do siebie, ale mówił: *Nie pytaj się gdzie mieszka Jan Słodyczka, bo nikt ci nie pokaże, pytaj gdzie mieszka „Maśniok”*.

Na zakończenie wróć jeszcze do wspomnianej nazwy góry pod którą mieszkam 88 lat. Chodzi o spór, Chłopska czy Miejska Góra. Cytuję: *Miasto wcześniej zakupiło pod budowę Krzyża parę arów powierzchni na „cyplu” gronia zwróconego w stronę Limanowej. Krzyż więc stoi na gruncie miejskim, a jak kto woli to – na miejskiej górze. Albo Miejskiej Górze*.

Można by teraz również mówić: Krzyż stoi na miejskiej parceli.

W 35. rocznicę śmierci Dyrektora Wilhelma Tabora

Stanisław Ociepka

Legenda szkoły, przyjaciel młodzieży

Był legendą szkoły, człowiekiem o wielkim autorytecie. W limanowskim Liceum przepracował 27 lat, w tym 18 lat piastował stanowisko dyrektora tej szkoły. Pracę w Liceum rozpoczął w sierpniu 1945 roku, a zakończył 31 sierpnia 1972 r., kiedy przeszedł na emeryturę.

W tym roku, 5 lipca przypada 35. rocznica śmierci Dyrektora Wilhelma Tabora, wspaniałego pedagoga i wychowawcy wielu pokoleń limanowskiej młodzieży.

Z sentymentem wspominam dyr. Tabora, zarówno jako Jego uczeń, jak i nauczyciel limanowskiego Liceum. To On właśnie przyjmował mnie do pracy w mury tej szkoły, gdzie przepracowałem 13 lat jako nauczyciel fizyki.

Jakie były Jego życiowe losy i osiągnięcia zawodowe?

Do Limanowej przybył w grudniu 1944 r., jeszcze podczas trwania II wojny światowej wraz z grupą uchodźców ze Lwowa.

Urodził się 11 marca 1909 r. we Lwowie. Tam ukończył szkołę powszechną, średnią oraz studia na Wydziale Nauk o Ziemi Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie.

Był bardzo aktywnym studentem – pod koniec lat trzydziestych XX w., działał z pasją w Kole Nauk Antropologicznych tego uniwersytetu.

Szczególnie interesował się etnografią i wspólnie z Romanem Harasymczukiem w roku 1938 w drukarni Wiśniewskiego we Lwowie wydali publikację zatytułowaną: „*Etnografia polonin huculskich*”. W książce tej opisują niepowtarzalny charakter tych terenów należących w okresie międzywojennym do Rzeczypospolitej.



Wilhelm Tabor (1909-1983)



Członkowie studenckiego Koła Nauk Antropologicznych Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie (Wilhelm Tabor siedzi pierwszy z lewej) 28 czerwca 1937 rok. Fotografia ze zbiorów Miejskiej Biblioteki Publicznej w Trzebini (Kolekcja rodziny Sokołowskich - udostępniła Barbara Sokołowska-Kurek)

Położenie geograficzne, klimat, a także odmienny historyczny rozwój gospodarczy i społeczny czyniły, iż te tereny miały niepowtarzalny urok i były punktem zainteresowania wielu badaczy.

Bardzo aktywny i dynamiczny student Wilhelm Tabor, pod kierunkiem prof. Adama Fischera prowadził badania etnograficzne dotyczące Polesia, Kujaw i Połabszczyzny.

Niestety wybuch II wojny światowej przerwał dynamicznie rozwijającą się działalność naukową młodego Wilhelma Tabora.

Początkowo pracuje jako nauczyciel w szkole średniej w Kosowie Huculskim (1939-1941), następnie powraca do Lwowa, gdzie podejmuje pracę kolejno jako ekspedient, urzędnik, magazynier. Tam też w latach 1943-1944 uczy geografii na kompletach tajnego nauczania. Największą tragedią ludzi mieszkających na Kresach Wschodnich było ich wypędzenie z rodzinnych terenów. Zmuszony do opuszczenia drogiego mu Lwowa odnalazł



W czasie jednego ze spotkań w limanowskim liceum. Od lewej: Józef Zboś - zastępca dyrektora, Szymon Czech - inspektor oświaty, Wilhelm Tabor - dyrektor, Aleksander Banaś - nauczyciel liceum. Fot. arch. „EL”

nową swoją małą Ojczyznę jaką była Limanowa, pozostając tu do końca życia.

Początkowo zamieszkał na „Kaletówce”, w budynku na rogu ul. Świerczewskiego (obecnie Piłsudskiego) i ul. Granicznej, później przeniósł się do bloku przy ul. Fabrycznej.

Będąc w Limanowej, po przejściu frontu wojennego włączył się w sierpniu 1945 r. do organizowania limanowskiej oświaty jako nauczyciel geografii i chemii, w utworzonym Liceum Pedagogicznym, a także w Miejskim Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnym, późniejszym Liceum Ogólnokształcącym.

Z tą ostatnią szkołą związał się na stałe, najpierw jako nauczyciel, wspierając kierownictwo nowo tworzonej się placówki oświatowej w trudnych latach powojennych, gdzie od podstaw organizowano szkolnictwo średnie – w naszym mieście przed wojną nie było szkoły średniej. Od 15 listopada 1954 r. do 15 października 1959 r. piastował funkcję pełniącego obowiązki dyrektora Liceum, a następnie dyrektora. Na tym stanowisku pozostawał aż do emerytury, na którą przeszedł 31 sierpnia 1972 roku. Jego dynamiczna i stanowcza postawa miała wielki wpływ na rozwój tej wiodącej placówki oświatowej w Limanowej. Strzegł wysokiego poziomu nauczania i wszechstronnego rozwoju kadry oraz uczniów. Dążył do podnoszenia kwalifikacji przez pedagogów i rozwoju kółek zainteresowań oraz twórczości artystycznej uczniów na wzór swojej aktywności na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Dlatego jedną z pierwszych szkolnych organizacji było Szkolne Koło

Turystyczno – Krajoznawcze, założone już w październiku 1949 roku, którego był pierwszym opiekunem. Z pasją dzielił się wiedzą o ziemi polskiej, organizował po całym kraju wycieczki dla młodzieży.

Trudne warunki lokalowe zmuszały dyr. Tabora do rozwiązania tego problemu.

Z pomieszczeń przy ul. Lenina (obecnie Witosa) w kamienicy porafineryjnej korzystały równocześnie trzy szkoły: Liceum Ogólnokształcące, Liceum Pedagogiczne i Szkoła Podstawowa nr 2. W tej sytuacji najpilniejszym zadaniem stało się pozyskanie na potrzeby szkoły nowego budynku. Z inicjatywy dyrektora Wilhelma Tabora i ówczesnego Komitetu Rodzicielskiego w 1960 roku powołano Komitet Budowy Szkoły i rozpoczęto budowę obecnego Liceum na terenach, których właścicielem był Związek Nauczycielstwa Polskiego. Początkowo projekt budowy Liceum przedstawił architekt z Myślenic Otton Fedak, projektant wielu wybudowanych budynków na przełomie lat 50. i 60. w Limanowej. Jego projekt przewidywał inne niż obecnie usytuowanie budynku, a jego architektura miała nawiązywać do architektury regionalnej z dwuspadowymi dachami. Niestety ze względu na koszty, projekt odrzucono.

Do realizacji wybrano koncepcję masowo budowanych w Polsce w latach 60. budynków oświatowych w myśl hasła „1000 Szkół na Tysiąclecie”. I taki budynek został oddany do użytku w roku 1963, z którego dyr. Tabor nie był zadowolony, pomimo iż był on już budynkiem własnym.

Uzasadnione żale Wilhelma Tabora co do koncepcji architektonicznej budynku Liceum potwierdzają się współcześnie. Jego następcy zmuszeni byli do przeprowadzania wielu remontów, aby doprowadzić do dzisiejszego stanu budynku tej wiodącej placówki oświatowej w Limanowej.

Wilhelm Tabor kładł duży nacisk na popularyzację wiedzy o regionie, uważał, że szkoła bez imienia nie ma wyrazistego oblicza. Kierując się tradycją w 1967 r. na posiedzeniu Rady Pedagogicznej dyr. Tabor zaproponował, aby szkoła przyjęła imię Władysława Smreczyńskiego „Orkana”, pisarza i poety z okresu Młodej Polski, „piewcy Podhala”, jakże przypominającego tereny Huculszczyzny rejonu Karpat Wschodnich.

11 listopada 1968 roku w pięćdziesiąt rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości nadano szkole imię Władysława Orkana. Komitet Rodzicielski przekazał ufundowany sztandar, na którym umieszczono wymowną symbolikę – na awersie myśli Orkana, a na rewersie stylizowanego orła piastowskiego. Projektantem sztandaru był Antoni Boczulski, malarz, nauczyciel Liceum, przyjaciel dyr. Tabora.

Z tej to okazji Władysław Jania, ówczesny adiunkt Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, wykonał płaskorzeźbę Orkana na frontonie budynku oraz rzeźbę w drewnie, która umieszczona jest na centralnym miejscu wewnątrz budynku Liceum.

W latach pracy nauczycielskiej pełnił różne funkcje społeczne: był ławnikiem Sądu Powiatowego, przewodniczącym Zakładowej Organizacji Związkowej. Działał także w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej (TWP), gdzie prowadził wykłady.

Najbardziej jednak cenił sobie pracę w PTTK. To właśnie m. in. dzięki Jego staraniom w roku 1961 w Limanowej powstał Oddział PTTK. Znalazł się On w pierwszym Zarządzie tej organizacji i pełnił tam przez wiele lat funkcję prezesa oddziału.

Był odznaczany medalami państwowymi i resortowymi, które cenił najbardziej.

Zmarł nagle 5 lipca 1983 roku. Został pochowany na komunalnym limanowskim cmentarzu. Na skromnym Jego grobie znajduje się tablica epitafijna z napisem: *Śp. /Długoletni dyrektor LO w Limanowej/mgr Wilhelm Tabor/1909 – 1983.*

Od Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie po I LO w Limanowej

Pamiętam, jeszcze z czasów dzieciństwa, że moich rodziców łączyła z rodziną Taborów głęboka zażyłość. Żona dyrektora limanowskiego Liceum Ogólnokształcącego Irena, przyjaźniła się z mamą i często u nas bywała w porafineryjnej willi. Mężczyźni darzyli się wzajemnym szacunkiem, jak myślę z powodu kresowej proveniencji, jak też lwowskich przeżyć w tej samej uczelni.

Ojciec był w latach 1931-1933 studentem Wydziału Prawa, a Wilhelm Tabor ukończył w roku 1939 studia na Wydziale Nauk o Ziemi słynnego Uniwersytetu Jana Kazimierza i otrzymał dyplom magistra filozofii w zakresie geografii.

W 1963 roku zostałem śladem 13 lat starszego brata Leszka, jak też siostrzenicy matki – Wandzi Okuniewicz (matura 1951 r.), uczniem limanowskiego Liceum Ogólnokształcącego, nazywanym przez Sowliniaków „Gimnazjum”, wzorem międzywojennych odpowiedników tego typu szkół średnich, których uwieńczeniem była „duża matura”. Miano „Ogólniaka” przybrało ostatecznie po jego przeprowadzce z centrum Sowlin, kilometr bliżej rynku. Jego dyrektorem był w tamtych przełomowych czasach Wilhelm Tabor, postać od lat wtopiona w pejzaż rafineryjnych, powojennych Sowlin, którego charakterystyczną sylwetkę rozpoznawało każde dziecko „Kolonii CPN”. Wśród nowo przyjętych uczniów LO, osobę jego dyrektora otaczała fama niemalże demonicznej, budzącej strach postaci. Bliższe „rozpoznanie bojem”, że pozwolę sobie użyć tego militarnego porównania, a już oswojenie się z tym postrachem podczas prowadzonych przez dyrektora wykładów geografii, a w ostatniej maturalnej klasie lekcji astronomii w ramach obowiązującego pensum godzin, okazało się, że „nie taki diabeł straszny jak go malują!”

Spoglądając jednak na dyrektorskie poczynania z za uczniowskiej ławki, można z perspektywy lat zauważyć, że był osobą apodyktyczną, a swą formułę zarządzania szkołą wzorował raczej na klasycznym modelu rzymskich cesarów, odrzucając antyczny dorobek greckiej demokracji. Wspominam konflikt wokół szkolnego

radiowęzła. Początkowo powszechną kpinę wzbudzały montowane na ścianach wszystkich klas i korytarzy, przypominające dawno zapomniane czasy tzw. „kołchoźniki”, sączące swym chrapliwym jazgotem, nawet na słupach ulicznych, nachalną, polityczną propagandę. Niespodziewanie, któregoś dnia, nasze zdziwienie, a później radość, wzbudził głos dyrektora Tabora, rozlegający się ze wszystkich głośników na inaugurację szkolnego radiowęzła. Otóż oddał nam, uczniom, wolny głos na czas długich przerw lekcyjnych! To była połowa lat 60-tych. Młodzież budziły z letargu rytmy rocka, nie wiem czemu, nazywanego w naszym kraju „big-bitem”. Opętani nowinkami tego „Zgniłego Zachodu”, zasłuchani byliśmy kultową muzyką nastolatków, która swobodnie docierała do nas „Za Żelazną Kurtynę” nawet przez ruski tranzystorek z mojej szkolnej torby za pośrednictwem Radia Luxemburg. „Prywaciarze” rozpowszechniali najnowsze przeboje, tłocząc je bez żadnych ograniczeń na prymitywnych, plastikowych „pocztówkach dźwiękowych”, które, co oczywista, trafiały niezwłocznie do odtwarzania w szkolnym radiowęzle. W czasach które wspominał, ich głównym „bryftrygiem” była nasza „bigbitowa” Irenka Krajewska.

I tutaj pojawił się konflikt, może nie interesów, ale upodobań muzycznych. Starsi pedagodzy ingerowali w radiowęzle, nakazując natychmiast wyłączyć „te ohydne wrzaski”. Oni chcieliby słuchać uspakajających, ale dawno przebrzmiałych przebojów Fogga, a my woleliśmy Beatles’ów.

Dyrektor Wilhelm Tabor wysłuchał argumentów obu stron i wydał ostateczną, nieodwołalną decyzję! Zezwolił w czasie długich przerw „puszczać” w szkolny eter tylko jeden głośny „kawalek”. Obsługa radiowęzła zgodnie z nakazem „dawała czadu” tylko jeden raz, resztę czasu wypełniając spokojnymi choć w gitarowym rytmie piosenki „Czerwono” – czy też innego odcienia – „Czarnych”.

To w czasie moich lat szkolnych, już w nowym budynku „Ogólniaka”, jego dyrektor również otrzymał klucze do oczekiwanego latami własnego mieszkania w nowym bloku przy ulicy Fabrycznej prowadzącej do CPN, dawniej historycznej „Rafinerii Nafty w Sowlinach”.

Do tej pory zamieszkiwał w najmowanym, skromnym lokalu u państwa Kaletów (budynek istnieje do dzisiaj), na rogu ulic Świerczewskiego (obecnie Piłsudskiego) i Granicznej.



Na lekcji geografii. Fot. z kroniki I LO w Limanowej

Któregoś wakacyjnego dnia (nie pomnę dokładnie roku tej słynnej przeprowadzki Wilhelma Tabora na nowe pielesze), brałem udział przy radosnym pakowaniu do kartonowych pudeł, zakurzonego dyrektorskiego księgozbioru przed jego przenosinami na oczekujące już przy pachnących świeżością ścianach, nowiutkie regały.

Przy tej wesołej pracy miałem okazję wraz z innymi pomagierami, wysłuchać swobodnej gawędy, zdawałoby się do tychczas, nieprzystępnej, poważnej osoby. O dziwo, odkrył przed nami swe jakże inne nieoczekiwane oblicze wrażliwej osoby, opowiadając kresowe dykteryjki i wspominając wybryki lwowskich „batiarów” z czasów swojej młodości.

Blizsze stosunki z szanowaną od lat „legendą” pierwszej limanowskiej szkoły średniej, nawiązałem po ukończeniu studiów. Dyrektor Wilhelm Tabor przebywał już na zasłużonej emeryturze. Podczas przypadkowego spotkania w osiedlowym sklepie chętnie przyjął moje zaproszenie na odwiedzinę u swojego byłego ucznia, którego jak się później okazało, doskonale pamiętał z czasów „Ogólniaka” i sprawianych mu kłopotów wychowawczych, zarówno w szkole (co zrozumiałe), ale także z powodu pozaszkolnych wybryków (nad którymi pozwolę sobie opuścić zasłonę milczenia).

Doskonale pamiętam Jego pierwszą wizytę z 1977 roku i naszą dysputę o utraconych Kresach Wschodnich II RP. Poczęstowany kielichem miodowej okowity teścia, dyrektor Tabor zainteresował się zawartością mej skromnej biblioteczki w małej garsonierze żony, gdzie początkowo mieszkaliśmy. Pozostała część obszernego księgozbioru spoczywała jeszcze u rodziców.

Z przyjemnością zwróciłem Jego uwagę na „Czerwone noce” Henryka Cybulskiego – opis heroicznej obrony Przebraża w czasie „Rzezi Wołyńskiej”, które dyrektor Tabor zwrócił mi po jakimś czasie nie kryjąc wzruszenia, a przy okazji bardzo zdziwiony faktem, że książka ta ukazała się w oficjalnym obiegu, mimo cenzury PRL. Następną lekturą, którą zarekomendowałem już zaprzyjaźnionemu, choć starszemu o wiele lat Kresowiakowi z urodzenia, był mój ówczesny „skarb”, który wydobyłem z bezpiecznego, jak mi się wówczas wydawało, ukrycia – za ustawioną na regale stertą innych „bezpiecznych” tytułów. Było to amerykańskie bibliofilskie wydanie



Uroczystość szkolna. Wilhelm Tabor siedzi w pierwszym rzędzie drugi z lewej. Fot. z kroniki I LO

w języku polskim, łagrowych wspomnień wojennych przeżyć, lwowskiej aktorki, Beaty Obertyńskiej „W domu niewoli”. Zdobyłem tę książkę niemałym trudem jeszcze za czasów studenckiego „Marca 68” od bliskiej koleżanki z UJ. Nie muszę wspominać, jaki zachwyt wzbudziła u dyr. Wilhelma Tabora.

Pewnego razu wspominałem o swym rozdartym z bólu, studenckim sercu, gdy na regale „Lwoviana”, natknąłem się w krakowskim antykwariacie naukowym Cieślowskiego na przedwojenną książkę współautorstwa Wilhelma Tabora o Huculach i Górach Huculskich (Etnografia połonin huculskich – wydana w 1938 roku we Lwowie – przyp.red.). Żałował wraz ze mną, że przez zamiłowanie do górniczego napoju, wypuściłem ze swoich rąk tę jak dzisiaj myślę, ciekawą i cenną pozycję.

Po nawiązaniu tego „bibliofilskiego” kontaktu nie dziwił mnie, wracającego po robocie w kłęczańskich kamieniołomach, zatrzymujący się parokroć przy mej skromnej osobie „duży fiat”, emerytalny dorobek całego zawodowego życia dyrektora Tabora, oczywiście z Jego uśmiechniętą twarzą nad kierownicą, z propozycją podwózki do Sowlin. Jak zwykle, o czym zawsze uprzejmie wspominał – powracając z gościny u państwa Hłyniów. Podejrzewam, że trasa na odcinku ulica Fabryczna – Krzyżowa – urokliwe domostwo doktora Hłynia i powrót do Sowlin, była jedyną, którą miał odwagę pokonać, osobiście kierując swym wehikułem, (ojciec dr Hłynia, Walenty, nauczał geografii w latach czterdziestych w pierwszej limanowskiej szkole średniej – przyp. red.).

Po śmierci Dyrektora Wilhelma Tabora w 1983 roku odżyły bliskie wzajemne kontakty samotnych wdów, mojej matki Ireny i pani Ireny Tabor. Pewnego dnia zapytała mamę, gdzie zdobyła taką

skromną, ale zgrabną, mosiężną tabliczkę nagrobną dla swego Franciszka. Miała zamiar w podobnej formie uwiecznić pamięć Wilhelma.

Skontaktowałem panią Taborową z bratem Leszkiem, który zgodnie ze zleconym tekstem napisu, zamówił u tego samego krakowskiego rzemieślnika tablicę nagrobną Wilhelma Tabora.

Braciszek nie przyjął równowartości za opłaconą usługę. Jak wspominał, nie miał serca obciążać za ten rzemieślniczy wyrób przysłowiowego „wdowiego grosza” żony po lubianym przez niego osobiście, jak i też przez młodszego brata Marka, nauczyciela geografii. W dowód wdzięczności Leszek otrzymał kilka książek z osieroconego bibliotecznego regału dyrektora Tabora.

Pokolenie Leszkowego chrześniaka – Oskara wraz z siostrą Ewką czyli moich dzieci, nauczało geografii już inne pokolenie pedagogów, choć w tym samym „Ogólniaku”, którego historia dziejów trwa nadal i zapewne „pisze się” bezustannie w pamięci wielu kolejnych pokoleń jego absolwentów. Kończąc własne wspomnienia o Dyrektorze Wilhelmie Taborze, zauważyłem ze zdziwieniem, że jeden z krakowskich zakładów odlewniczych umocnił jeszcze bardziej dwie rodziny Kresowiaków z pochodzenia, związanych z lwowskim Uniwersytetem Jana Kazimierza, Franciszka i Wilhelma, jak też Sowliniaków, dokąd rzucił ich wicher historii, wyganiając z ojczystych stron, pojałtańskim „układem zwyczajnych mocarstw”.

Ich czas dobiegł końca w limanowskich Sowlinach, którym obaj poświęcili całe swoje znojne życie, Franciszka w Rafinerii, późniejszym CPN, a Wilhelma w Miejskim Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnym, późniejszym I Liceum Ogólnokształcącym im. Władysława Orkana w Limanowej. ▶

W latach tuż powojennych, w roku 1948 prawdopodobnie – bo chyba dopiero to, co zakonotowane w wieku 3+ jest człowiek zdolny odtworzyć w pamięci – ojciec zabrał mnie i młodszego o rok brata do sowlińskiego gimnazjum, gdzie pracował. Pracownia przyrodnicza, do której weszliśmy wzbudziła zachwyty różnorodnością eksponatów i preparatów, intensywnym zapachem żywej flory i fauny. W jednym z terrariów były trzmiele, do których braciszek włożył palec – z wiadomym skutkiem. Królujący w pracowni profesor Hłyń zareagował na wrzask – Chodźmy z tym do Wilhelma!

Przeszliśmy do sąsiedniej pracowni – chemicznej – geograficznej, gdzie wspomniany profesor Wilhelm posmarował, co trzeba roztworem amoniaku (chyba). W każdym razie płacz się urwał i można było rozglądać się po laboratorium – przyrządy do doświadczeń zainstalowane na każdym stoliku (jakoś wtedy mniej prawdopodobne były nieprzewidziane wypadki) gabloty z minerałami i przenikająca z zamkniętych szaf ostra woń chemikaliów. I z tą sferą zapachów prof. Wilhelm Tabor długo mi się kojarzył.

W 1945 r. polscy wygnańcy zza Bugu starali się zatrzymać w Polsce centralnej, zamiast jechać na obce im „ziemie odzyskane”. Kilkanaście rodzin kresowiaków znalazło nowe miejsce w Limanowej, przeważnie w Sowlinach. Tu łatwiej było o pracę i mieszkanie – w latach 40-tych istniała jeszcze w całości rafineria z nadzieją na ponowne uruchomienie, bednarnia, przeniesiona później do Łososiny, jedyna (jak kto woli, to dwie w jednej) w mieście szkoła średnia, szpital i Powiatowa Komenda Milicji Obywatelskiej (!) We wspomnianej szkole znalazł pracę przybyły ze Lwowa Wilhelm Tabor z żoną i synem Antonim, geograf, choć jak później – gdy zawarliśmy już znajomość – podkreślał: antropolog. Był absolwentem Uniwersytetu Jana Kazimierza, studentem prof. Jana Czekanowskiego, światowej sławy afrykanisty i antropologa.

Nawet dziś w internecie można znaleźć zdjęcia i informacje dotyczące aktywnej działalności Wilhelma Tabora w Kole Nauk Antropologicznych we Lwowie w latach 30-tych. Był też autorem



Wycieczka na Łopień - 1948 r. Od lewej Wilhelm Tabor, nn, moja mama Władysława, pani Taborowa, Józef Stanisławski. Fot. Władysław Sułkowski



Przy bacówce na Łopieniu, Wilhelm Tabor pierwszy z lewej. Fot. Władysław Sułkowski

lub współautorem artykułów w pismach naukowych.

Dyrektorem Liceum Ogólnokształcącego w Limanowej zostaje w 1954 r. Bezpartyjny w czasach stalinowskich! Gdy w 1963 r. zrealizowano – z jego inicjatywy – budowę nowego obiektu szkoły, sprawy przynależności do PZPR traktowano już pryncypialnie; niewiele już zostało z tzw. „październikowej odwilży 1956”. No cóż, chcąc utrzymać stanowisko, musiał „się wpisać” – jak to wtedy mówiono. I mówili też ci, co mogli wiedzieć i widzieć, że nowo przyjęty „towarzysz” nie wykazywał się pożądanym serwilizmem. To Komitet – wg opowiadającego – częściej przybywał do szkoły niż

dyrektor do Komitetu. Nie jestem absolwentem limanowskiego LO, ale miałem raz możliwość wysłuchać wystąpienia dyrektora Tabora na zakończenie nauki maturzystów.

Dyrektor przemówił, a jakże, pierwszy mimo obecności wysokiego sekretarza KP PZPR, który nota bene miał w szkole godzinki jakiejś indoktrynacji. Przemówienie dyr. Tabora było niedłgie, treściwe i konkretne z przesłaniem, że matura to dopiero klucz do szansy na realizację życiowych zamierzeń. Do tej metafory jak pijany ściany przyssał się sekretarz – klucz, klucz, klucz – powtórzył w mowie kilkadziesiąt razy i nic mu nie wyszło, jak sądzę, z zamiaru

objawienia obecnym, jaką wielką chwałą socjalizmu jest matura.

Nie uczęszczałem, jako się rzekło, do ogólniaka, za to moi koledzy prawie wszyscy. Dyrektor Tabor miał u nich respekt, przechodzący czasem w grozę.

W centrum Sowlin były takie sympatyczne „schodki u pana Miecia” odseperowane od ulicy dystansem zieleni, ale słabo. Miło się na nich posiadaowało wieczorem. Otóż, gdy zdarzało się, że ulicą wracał do domu Dyrektor, w myślach zresztą daleki od penetracji poboczy, moi zacni koledzy robili „lotnik, kryj się” w ową mizerną zielen – bez powodu, ale dla pewności!

Nie za wysoki, łysawy, czasem nerwowo trzaskający elastycznymi szelkami mógł być postacią krotochwilną, a tymczasem potrafił, gdy trzeba zdrętwić delikwenta. Pamiętam z czasów już późniejszych takie zdarzenie. Siedzieliśmy wspólnie w jakimś towarzystwie w „Myśliwskiej” (jeśli komuś ta nazwa cokolwiek jeszcze mówi). Jakiś konsument przy nieodległym stoliku próbował coś mieć przeciw nam, a nawet wstawszy zdrowiu naszemu grozić. Ale zanim co do czego, został spacyfikowany przez dyr. Tabora imperatywem kategorycznym – Niech on siedzi! I niech on je!

A podsumowując kwestię relacji dyrektor – uczniowie, wydaje się, że ów powszechny strach, może lepiej – respekt był również wyrazem szacunku za niewątpliwą wiedzę, inteligencję i bezkompromisowość. Po prostu – za imponującą indywidualność. Ci z ogólniaka, opowiadając o swym „dyrze” różne, nawet złośliwe anegdoty, byli jakoś dumni, że mają szefa „z wyrazem”. Miał też w tamtych latach limanowski ogólniak niezłe notowania na krakowskich uczelniach, zaśługa to oczywista dobrych nauczycieli, ale i dyrektora również.

Był mistrzem riposty, co też jest miarą intelektu. Siedzę z przyjezdnym kolegą w kawiarni, limanowskie LO ukończył już kawał czasu temu. Wchodzi dyrektor Tabor. Kłaniamy się. O! – wyraz zdziwienia i zaraz pada nazwisko owego kolegi, za moment imię – Józef! – Jan – poprawia tenże nieśmiało, jakby znów się poczuł jak uczeń.

– Oczywiście Jan! Józef powiedziałem tylko dlatego, żeby być w porządku z Biblią.

I może jeszcze jeden przykładzik oryginalnego humoru słownego. To było już po przejściu dyrektora Tabora na emeryturę

w 1972 r. Siedzimy gdzieś biesiadnie w swoim towarzystwie, Dyrektorowi bardzo się nie podoba (najzupełniej słusznie!) pewien obecny na sali osobnik, więc jest zirytowany, strzela szelkami i nie bardzo dbając o dyskrecję, wyraża bez ogródek – Ten łysy dureń! – tu następuje refleksja – Ja też jestem łysy, ale ja jestem blondyn.

Profesor Tabor jako geograf był w szkole, co naturalne, organizatorem wycieczek. Co ciekawe, nie zaprzestał tego całkowicie po zostaniu dyrektorem liceum. Moja żona jako uczennica LO pod koniec lat 60 – tych przełamała lęk przed „srogim Wilhelmem” i zapisała się na prowadzony przez niego obóz wędrowny po Pomorzu Szczecińskim. Wróciła zachwycona.

Mama moja przyjaźniła się z panią Taborową, ja kolegowałem – do dziś to trwa – ze starszym o parę lat Antkiem. A pan Wilhelm zaczął częściej bywać w naszym domu, kiedy był już w bardziej poważnym wieku. Ta bliższa znajomość pozwoliła mi poznać, o jak szerokich horyzontach był to człowiek. Dużo też dowiedziałem się od niego o bogactwie życia kulturalnego Lwowa w latach międzywojennych, a była to w tamtych latach wiedza trudno dostępna.

Podsumowując – magister filozofii Uniwersytetu Lwowskiego im. Jana Kazimierza, antropolog Wilhelm Tabor, wieloletni dyrektor Liceum Ogólnokształcącego był pod każdym względem w Limanowej postacią wyrazistą, jakich dzisiaj brak.

Takie czasy, tacy ludzie.



Grób rodziny Taborów na cmentarzu komunalnym w Limanowej
Fot. St.Ociepka



Dekoracje na sali gimnastycznej I LO w dniu nadania imienia szkole, 11 listopada 1968 roku

Ważna rocznica w historii Liceum Ogólnokształcącego w Limanowej

Zofia Wiśniewska

W bieżącym roku Liceum Ogólnokształcące w Limanowej będzie obchodziło doniosłe święto – 50. rocznicę nadania tej ważnej placówki oświatowej imienia Piewcy Ziemi Limanowskiej i całego Podhala – pisarza i poety Władysława Orkana. Uroczystość ta miała miejsce 11 listopada 1968 r.

Wracając pamięcią do wspomnianego wydarzenia, należy skłonić głowę przed tymi, którzy mieli odwagę zabiegać o jego realizację w terminie tak źle kojarzonym przez ówczesny ustrój. Na szczęście wszystko ułożyło się pomyślnie i nowy gmach otrzymał godnego PATRONA.

Pomysł nadania szkole imienia wielkiego Rodaka wypłynął na wniosek dyrektora szkoły p. Wilhelma Tabora i p. prof. Marii Czerwowej na posiedzeniu Rady Pedagogicznej w dniu 12 marca 1967 r.

Po jego zatwierdzeniu wystąpiono do odpowiednich władz o jego akceptację, a po jej uzyskaniu ustalono kolejne zadania i terminy ich realizacji.

Pracy było wiele, a sama uroczystość miała podkreślić rangę placówki i jej rolę w przygotowaniu młodzieży do dalszego zdobywania wiedzy i zawodu zgodnego

z predyspozycjami osobistymi i zapotrzebowaniem gospodarki narodowej, tak by każdy znalazł swe miejsce w dorosłym, samodzielnym życiu.

Główny ciężar przygotowania uroczystości spadł na Dyрекcję Szkoły i grono pedagogiczne, które musiało ustalić kolejność realizacji poszczególnych zadań, przydzielić je wybranym osobom tak, by wszyscy mieli swój udział w podjętym dziele. Co pewien czas następowało sprawdzanie wykonania, by zdążyć wszystko wykonać przed wyznaczonym, najważniejszym dniem w historii szkoły.

Należało przede wszystkim przygotować młodzież, by była przekonana o słuszności wyboru tego właśnie PATRONA dla ich szkoły.

Aby się tak stało uczniowie musieli wiele się dowiedzieć o życiu i pracy pisarskiej Władysława Orkana. Zdobyć

tej wiedzy nie mogło odbyć się przez wyuczenie się jego życiorysu, lecz poznanie środowiska w jakim wzrastał, rozmowy z ludźmi, którzy pamiętali pisarza, jego rodzinę, warunki życia. Wówczas było to możliwe, bo żyło jeszcze wiele osób, które doskonale go znały i chętnie dzieliły się swymi wspomnieniami, a nawet poczytywały sobie za wyróżnienie, że mogą o tym mówić.

Organizacją wypraw do krainy Gazdy Podhala – Poręby Wielkiej zajął się p. prof. Józef Staniszewski zasłużony pedagog, wychowawca, matematyk, a nade wszystko miłośnik naszych gór, krajoznawca i turysta. To On wędrował z kolejnymi grupami uczniów i zwracał im uwagę na „trudne piękno” Orkanowskiej Ziemi. Kiedy przysiadali, by odpocząć, czytali fragmenty książki J. Dużyka pt. „Władysław Orkan” lub innej biografii, które przybliżały postać pisarza.

Czasami samorzutnie któryś z uczniów przygotował i przeczytał lub zarecytował wiersz Orkana, zwykle smutny jak jego dola.



Przekazanie sztandaru przez Edwarda Kapłona, przew. Komitetu Rodzicielskiego Wilhelmowi Taborowi, dyrektorowi szkoły



Akt ślubowania. Ślubują: Irena Krajewska i Jerzy Ormezowski. Akt odczytuje Józef Kowalczyk. W poczie sztandarowym stoją od prawej: Józef Dymek, Mieczysław Pachowicz, Witold Markowski

Często powtarzał się ten: „Już nie wróci, nie wróci/ Młodości mojej burza./ Czas się przede mną kroci,/ A za mną się wydłuża.../ Rośnie sztandar krwi mojej,/ Maleje las mych czynów./ Cóż się śmierci ostoi?/ Popiół z traw i wawrzynów...”

Wycieczkowicze zatrzymywali się dłużej w rodzinnej miejscowości pisarza w Porębie Wielkiej, w otwartym po wojnie Domu Regionalnym Wczasów Dziecięcych, do którego z całej Polski kierowano chorą młodzież na rekonwalescencję. Tam zwykle jedli posiłek i brali udział w spotkaniach z mieszkańcami pamiętającymi pisarza.

Krótko przed uroczystością nadania Liceum Ogólnokształcącemu imienia wybranego patrona delegacja młodzieży złożyła na Jego grobie na „Pęksowym Brzysku” w Zakopanem wieniec.

Znacznie wcześniej podczas wypadów w Beskidy młodzi wycieczkowicze pod opieką zacnego profesora odwiedzili Nowy Targ i pokłonili się pisarzowi, który z wysokiego cokołu patrzy na swoje górskie królestwo. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, że to będzie ich PATRON.

Z pomocą przy organizacji tej ważnej i jedynej w swoim rodzaju uroczystości nadania szkole imienia pospieszył naturalny przyjaciel Liceum Komitet Rodzicielski, któremu przewodniczył wówczas p. mgr Edward Kapłon (były prezes Sądu Powiatowego).

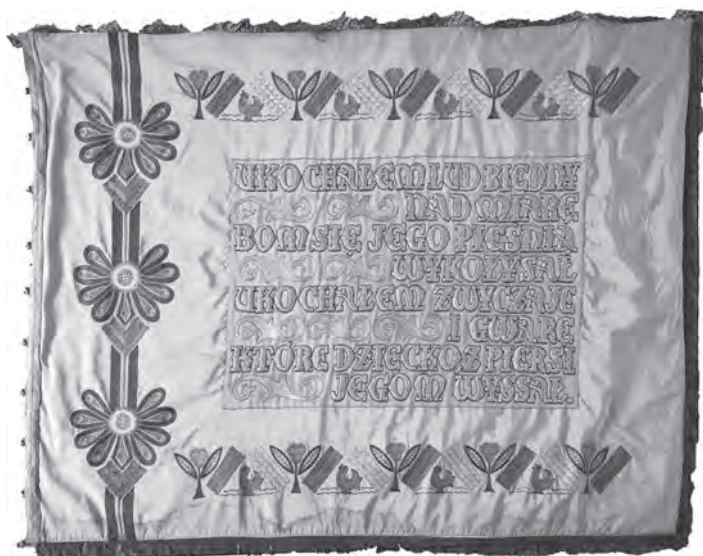
Komitet ufundował szkole piękny sztandar według projektu utalentowanego nauczyciela Liceum p. Antoniego Boczulskiego. Na awersie sztandaru jest Godło Polski, a po jego obydwu stronach



Część artystyczna uroczystości



Wilhelm Tabor - dyrektor liceum wbija ozdobny gwóźdź do drzewca sztandaru



Awers i rewers historycznego sztandaru I LO. Obecnie wyeksponowany jest w budynku szkoły

i na dole napis: Liceum Ogólnokształcące imienia WŁADYSŁAWA ORKANA w Limanowej. Na rewersie haft z motywami ludowymi (parzenice, osty dziewięciły, kogutki) i cytat z „Przyśpiewki” poety wyrażający ogrom przywiązania wieszczka do tej ziemi, NASZEJ ZIEMI: „Ukochałem lud biedny nad miarę, / Bom się jego pieśnią wykołysał, / Ukochałem zwyczaj i gwarę, / Które, dziecko, z piersi jegom wyssał.”

Godło Polski – Piastowski Orzeł dumnie wznosi pierś i pręży skrzydła tak, jakby za chwilę miał się poderwać do lotu i ze swego gniazda nad Gopłem, przebyć drogę od wschodu do zachodu, od Karpat do Bałtyku i objąć wzrokiem całą naszą Ojczyznę – Polskę, której jest królem, bo taki obowiązek nałożyła na niego przed laty HISTORIA – historia polskiego narodu.

Termin zaplanowanej uroczystości szybko się przybliżał, a pracy było ciągle jeszcze wiele. O jedną rzecz dyrektor szkoły był zupełnie spokojny, o dekorację sali, w której miała się odbyć uroczystość. To zadanie zobowiązał się wykonać bardzo odpowiedzialny i ogromnie utalentowany wymieniony już wcześniej p. Antoni Boczulski, który opracował projekt wystroju sali gimnastycznej, a po jego akceptacji przez Dyрекcję przystąpił do wcielania go w życie. Zakupił potrzebne materiały i wybrał do pomocy chętnych uczniów, bo wykonanie takiej pracy w pojedynkę nie było możliwe. Efekt realizacji planu był imponujący i zaskoczył wszystkich uczestników święta.

Frontowa ściana sali gimnastycznej była doskonale zaplanowana. W najwyższym

miejscu rozpościerał swe mocne skrzydła Piastowski Orzeł. Biła z niego jakaś wielka siła podnosząca ducha każdego, kto na niego patrzył. Ten rodzimy Ptak towarzyszący naszemu narodowi od zarania państwowości, symbol troski o swoje gniazdo, swój rodzimy Dom, który nosi imię POLSKA, napawał patrzących dumą i spokojem.

Po lewej stronie Godła nieco poniżej portret Władysława Orkana PATRONA szkoły (pędzla p. A. Boczulskiego) z przesłaniem: „Synu Podhala dbaj, by ojczyste pieśni/ wyznaczyły się w orkiestrze świata, / By z kozikowych Ojców robót posąg skrzydlaty/ rzeźby rodzimej wytrysnęła, / by Twa nadbudowana już literatura wzmożła się wyżej, / podniosła sławę Twej Ojczyźnie dalej”.

Na śladzie pod Godłem dwie okazałe daty 1918-1968 przypominają o ważnej chwili, w której przypadła uroczystość nadania Liceum Ogólnokształcącemu w Limanowej – Patrona. To 50. rocznica odzyskania niepodległości po 123 latach niewoli. Jakże znamienita data. Okrągły wianuszek z kwiatów ozdobiony wstęgą i kokardą to ukłon złożony Patronowi – pisarzowi, dramaturgowi, poecie, a nade wszystko CZŁOWIEKOWI, który „ukochał ten lud, z którego się wywodził”.

Po prawej stronie najważniejsze postanowienie ślubowania: *ŚLUBUJEMY TOBIE OJCZYZNO! / Swoją patriotyczną postawą chcemy/ dokumentować naszą gotowość/ służenia Ojczyźnie przez całe życie.*

Powyżej socjalistyczne hasło zgodne z ówczesną polityczną rzeczywistością. Nie dało się tego uniknąć.

Tylko dzięki dyplomatycznym zabiegom p. dyrektora W. Tabora zostały

zminimalizowane zamiary ówczesnej „jedynie słusznej władzy”, wybrany odpowiedni Patron szkoły i uroczystości z tym związane zorganizowano w tak wiele mówiącym terminie. Władze polityczne zostały tak osaczone słusznymi powodami, na które powoływał się p. dyrektor, że nie mogły odmówić. Nigdy mu tego jednak nie wybaczyły. Odczuł to nawet, przechodząc na emeryturę. Ogromna szkoda, że nie doczekał zmian, jakie zaszyły w naszej Ojczyźnie.

Prace przygotowawcze trwały.

Organizatorzy uroczystości pomyśleli o wszystkim, także o tym, by na zewnętrz budynku również była zaznaczona obecność Patrona. Fronton szkoły ozdobiła płaskorzeźba pisarza. Jest to dzieło Władysława Jani – adiunkta Akademii Sztuk Pięknych. On też wykonał w drewnie rzeźbę piewcy Limanowszczyzny.

Część artystyczną uroczystości oddano w ręce pań uczących j. polskiego. One dokonały wyboru stosownych tekstów z dorobku pisarza, które miały być zaprezentowane po części oficjalnej.

Komitet Organizacyjny sporządził listę gości, których należało zaprosić na uroczystość i wysłał zaproszenia ze znacznym wyprzedzeniem. Były one skierowane do władz oświatowych, administracyjnych i politycznych. Rodziców zaprosili w imieniu Dyrekcji i własnym uczniowie.

Uroczystość nadania Liceum Ogólnokształcącemu imienia tak zacnego PATRONA – RODAKA mająca miejsce 50 lat temu była nie tylko dla Dyrekcji szkoły, grona pedagogicznego, uczniów i ich rodziców, lecz dla wszystkich mieszkańców miasta i okolicy wydarzeniem



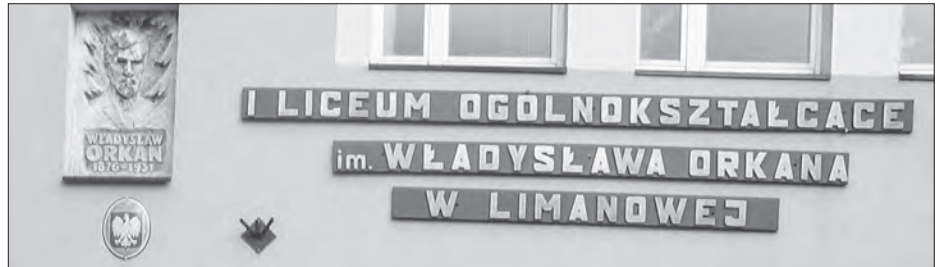
Władysław Orkan - rzeźba w drewnie Władysława Jani

szczególnym, niepowtarzalnym, historycznym. Blasku dodawał rozmach przygotowań, ilość włożonej pracy i serca.

Wcześniej pomyślano też o uczniach mających reprezentować szkołę w czasie uroczystości. Na ich wybór wpłynęły wyniki w nauce, zachowanie, udział w kołach zainteresowań, postawa, koleżeńskość i czynne uczestnictwo w życiu placówki. Wybrani czuli się zaszczytzeni i bardzo to przeżywali.

Nadszedł wreszcie długo oczekiwany dzień. Przybyli wszyscy zaproszeni goście włącznie z posłanką na Sejm p. Antoniną Lubecką. Najpierw zwiedzili obiekt szkolny, wystawy obrazujące życie i pracę uczniów, zainteresowali się dyplomami otrzymanymi za udział w różnych dyscyplinach. Te dyplomy to widomy ślad osiągnięć placówki.

Potem przeszli do sali gimnastycznej, w której miała się odbyć najważniejsza uroczystość. Po odśpiewaniu hymnu narodowego wzruszony dyrektor szkoły p. Wilhelm Tabor powitał przybyłych gości i wygłosił krótkie przemówienia dotyczące uroczystości. Następnie do sali, w której odbywała się uroczystość, wszedł poczet sztandarowy, do którego zostali wybrani uczniowie: Józef Dymek, Mieczysław Pachowicz i Witold Markowski – odświętnie ubrani, wzruszeni zatrzymali się przed stołem przydzielonym.



Plaskorzeźba patrona szkoły na frontowej ścianie budynku wykonana przez Władysława Janię - adiunkta ASP w Warszawie

W ogromnej ciszy w pozycji na baczność stanęli wszyscy obecni w sali gimnastycznej. Czekali, by nic nie uronić z uroczystości przekazania sztandaru Dyrekcji Szkoły.

Uczyliń to przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego p. mgr Edward Kapłon, po czym odbyło się ślubowanie.

Rotę ślubowania odczytał uczeń Józef Kowalczyk. Ślubowali: Jerzy Ormezowski i Irena Krajewska.

Młodzież ślubowała służyć przez całe życie swojej Ojczyźnie, być wiernym Jej tradycjom, poznawać je, budować jej przyszłość pracą i postawą strzec dorobku poprzednich pokoleń i pomnażać je.

Znalazło się też zobowiązanie poszanowania swojej Małej Ojczyzny, którą należy kochać i troszczyć się o Jej przyszłość.

Po deklamacjach patriotycznych utworów i odśpiewaniu pieśni sztandar został z honorami wyprowadzony. W dalszej części programu uczniowie zaprezentowali fragmenty „Listów ze wsi” i dramatów.

Najbardziej jednak podobały się wiersze poety smutne, nastrojowe, a czasem mimo wszystko optymistyczne lub śmieszne jak ten: *Patrzcie, Wojciechu, na te cuda! / Srebrzyste kule śniegu lecą / Jedna po drugiej leci gruda, / A wszystkie srebrem w słońcu świecą... / Nic to! - odrzeczcie z jasną twarzą / Wczesne ziemniaki się udarzą... / Patrzcie, ile to płatków płonie / I skrzy się w słońcu przez odbicie, / Jak okiem dojrzeć - całe błonie / Pali się srebrem... Nie widzicie? / Widzę - odrzeczcie - ostra zima! / Pogoda w lecie nam wytrzyma... / - Czyż nie widzicie tych wszystkich piękności, / Wśród których, szczęśni, od mała żyjecie? / Prawda, świat piękny, warto na nim pożyć, / Byle człek zawdy miał co w gębę włożyć...*

Podczas występów przygrywał duet fortepianowy, a jeden z uczniów zaprezentował „Śpiew Jaśka (z mazurków Chopina)”:

Oj, usługiwał ci ja, Zosiu, / Bez niejedną wiosnę - Powiadałaś: / Będę twoją Jak ino

urosnę... / I urosłaś taka śmigła Jak jedlica w borze, / A ja zmałał, jak ten smerek W skalistym ugorze...

Na zakończenie części artystycznej duet: Maria Szumilas – fortepian i Józef Szymon Wrona (Wroński) – skrzypce odegrał Poloneza Ogińskiego – „Pożegnanie Ojczyzny”.

Grono pedagogiczne i zaproszeni goście wzięli też udział w tradycyjnym wbijaniu gwoździ w drzewce sztandaru. Każda osoba czyniła to z namaszczeniem, czując się specjalnie wyróżniona, bo uroczystość wybrania patrona placówki szkolnej zdarza się zwykle tylko raz w jej historii.

Od pamiętnej uroczystości w Liceum Ogólnokształcącym w Limanowej minęło 50 lat. Szmat czasu. Iluż to uczniów opuściło jego mury, skończyło studia, doszło do wysokich godności naukowych lub zawodowych. Pozostało w Ojczyźnie lub osiadło w innym kraju i poprzez solidną pracę sławi swoją Ojczyznę i swoje miasto, a nim szkołę, w której zdobywali podwaliny do dalszej nauki, pracy, a przede wszystkim życia.

Wiele też zmieniło się w naszej Ojczyźnie, ale hasła wypowiedziane w ŚLUBOWANIU są wciąż aktualne i należy je realizować.

PS

Bardzo dziękuję Panu Redaktorowi Stanisławowi Ociepcie za udostępnienie materiałów potrzebnych do rocznicowego artykułu.

Redakcja „Echa Limanowskiego” dziękuje p. Annie Mruk - dyrektor I LO za udostępnienie materiałów związanych z uroczystością nadania imienia szkole.

Fotografie: Stanisław Ociepka, arch. Józefa Stanisławskiego, Jerzego Ormezowskiego, z kroniki I Liceum

Stanisław Kulig

– ogrodnik z Limanowej

w 100-lecie urodzin – wspomnienia syna

Dobrze ten schował, kto schował w pamięci.
Dante Alighieri (1265 - 1321)



Stanisław Kulig – ogrodnik i obserwator meteorologiczny z Limanowej (1918-1991)

majątku rodziny Marsów, a po II wojnie światowej podlegającym burzliwym losom znacjonalizowanego majątku.

* * *

Ojciec zostawił w moim życiu bardzo wyraźny ślad i pozostał w mojej pamięci jako interesujący człowiek. Dlatego chciałbym przypomnieć pokrótce Jego dokonania zawodowe związane z ogrodnictwem oraz działalnością obserwatora meteorologicznego i fenologicznego, a także przedstawić kilka osobistych wspomnień rodzinnych.

Ogrodnik

W 1935 roku podjął pracę zawodową w obszarze dworskim administrowanym przez Grzegorza Marsa. Na stanowisku ogrodnika w ogrodzie warzywniczym, sadowniczym i kwiaciarskim pracował do 1945 roku, w którym majątek został znacjonalizowany. Dzieje rodziny

Marsów oraz opis ich majątku, z którym był związany mój Ojciec, przedstawiłem w „*Echu Limanowskim*” na przełomie lat 2012 - 2013 w obszernym tryptyku „*Z kart historii starowiejskiego dworu i limanowskiego ogrodu*”: część I „*Okres przedwojenny – dzieje rodziny Marsów*” (nr 218-219), część II „*Okres przedwojenny – opis majątku rodziny Marsów*” (nr 220-221) i część III „*Okres powojenny*” (nr 222-223). Zwłaszcza w jego trzeciej części oraz w wywiadzie opublikowanym w „*Echu Limanowskim*” (nr 262-263) w 2016 roku odniosłem się do działalności Ojca na terenie ogrodu i parku miejskiego położonego przy ulicy Józefa Marka¹.

Po wojnie Stanisław Kulig pracował nadal w tym samym ogrodzie, który należał kolejno do kilku instytucji. W latach 1945 - 1947 Ojciec pracował w charakterze instruktora ds. ogrodniczych dla

Limanowianin

Mija 100 lat od daty urodzenia Stanisława Kuliga. Człowieka, który całe życie związany był z Limanową. Urodził się jeszcze przed zakończeniem I wojny światowej i odzyskaniem przez Polskę niepodległości, 3 maja 1918 roku na Gwizdówce, należącej w owym czasie do Mordarki koło Limanowej, w rodzinie Anny z domu Dutka (1897 - 1960) i Michała Kuliga (1896 - 1958). Był drugim dzieckiem w rodzinie. Miał starszego brata Mariana (1916 - 2008) i trzy młodsze siostry: Marię (po mężu Biernat; 1920 - 2001), Józefę (po mężu Jasica; 1922 - 2005) i Walerię (po mężu Jurowicz; 1925 - 2016). Szkołę Powszechną ukończył w Limanowej.

Dzisiaj jest postacią historyczną, ponieważ wrósł w historię miasta, a zwłaszcza jego południowej części, która okazała się niezwykle ważna dla Niego i Jego rodziny. Około 50 lat spędził w ogrodzie, najpierw należącym do dawnego



Południowo-wschodnia elewacja (z oknami od pokoi) „Ogrodnikówki” otoczonej niewielkim ogrodkiem kwiatowym i trzema winnymi krzewami – wiosna 1977 r.



Stanisław Kulig – na tle inspektów („skrzyń”) we wschodniej części ogrodu. W głębi stelaż do suszenia słomianych mat i budynek przy podworskiej cieplarni. Widok w kierunku Potoku Jabłonieckiego z przełomu lat 40. i 50. XX wieku



W tzw. „starej” większej szklarni, między „parapetami” obsadzonymi krzakami pomidorów – z tyłu z prawej Stanisław Kulig, z lewej Antoni Juruowicz, z przodu pracownice ogrodu w latach 60. ubiegłego wieku

Państwowego Gimnazjum Gospodarstwa Wiejskiego w Starej Wsi koło Limanowej, następnie w latach 1947 - 1950 jako ogrodnik w ogrodzie sadowniczo-warzywniczym przy Państwowym Gimnazjum i Liceum Leśnym w Limanowej, a w roku szkolnym 1950/1951 był nauczycielem zawodu w Państwowym Liceum Hodowlanym w Starej Wsi. W latach 1951 - 1953 ogród należał do Państwowego Gospodarstwa Rolnego, od 1954 r. do 1964 r. – do Państwowego Ośrodka Maszynowego, a następnie do Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej. Szczególnie dobrze pamiętam ogród z lat 60. ubiegłego stulecia, pod zarządem dwóch ostatnich firm: POM-u i Zakładu Zieleni Miejskiej w MPGK.

Stanisław Kulig pracując w ogrodzie, rozwijał swoje zainteresowania związane z ogrodnictwem. Kształcił się w tym zakresie i doskonalił swój zawody warsztat, czytając fachowe książki

i czasopisma (prenumerował m.in. *Hasło Ogrodniczo-Rolnicze*) oraz kończąc kursy specjalistyczne z warzywnictwa i kwiatciarstwa. W 1984 roku przeszedł na zasłużoną emeryturę.

Obserwator meteorologiczny i fitofenologiczny

Stanisław Kulig był człowiekiem całe życie aktywnym, zarówno w sferze działalności zawodowej w ogrodzie, jak i obserwacji meteorologicznych, które wraz z żoną Stanisławą prowadzili w latach 1951 - 1991, początkowo dla Państwowego Instytutu Hydrologiczno-Meteorologicznego, a od 1973 r. dla Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej. Po śmierci Ojca współpracę z IMGW przez dalsze 10 lat kontynuowała Jego żona. Po 50 latach nieprzerwanej działalności Stanisława i Stanisławy Kuligów

jako obserwatorów meteorologicznych zakończył się okres pomiarów i obserwacji warunków pogodowych w Limanowej. Działalność moich Rodziców jako obserwatorów meteorologicznych została szerzej opisana w kilku artykułach. W „Gazecie Obserwatora IMGW” (nr 5/ XLV z 1996 r.) ukazał się artykuł Haliny Kulig „45 lat Stacji Meteorologicznej PIHM/IMGW w Limanowej”, a w „Echu Limanowskim” (nr 69 z 1999 r.) mój artykuł pt. „Stanisław Kulig - ogrodnik i obserwator meteorologiczny oraz jego stacja w Limanowej”. W kwartalniku „Almanach Ziemi Limanowskiej” opublikowane zostały trzy artykuły dotyczące badań meteorologicznych: „Historia pomiarów i obserwacji meteorologicznych w Limanowej” (nr 6, jesień z 2001 r.), „Charakterystyka warunków klimatycznych Limanowej” (nr 7, zima z 2002 r.) i „Warunki klimatyczne Limanowej i ich konsekwencje dla mieszkańców” (nr 8, wiosna z 2002 r.) ▶

► W „Wiadomościach IMGW” ukazał się komunikat naukowy nt. „50 lat pomiarów i obserwacji meteorologicznych w Limanowej podstawą charakterystyki jej warunków klimatycznych” (tom XXV/ XLVI, zeszyt 1 z 2002 r.). Stanisław Kulig prowadził też obserwacje fitofenologiczne².

Ojciec był człowiekiem skromnym, nie dążącym do apanaży czy osiągnięcia prestiżowych sukcesów. Pracę zawodową w ogrodzie, tworzącą harmonijną całość z wynikającymi z umiłowania przyrody zainteresowaniami meteorologią i fenologią, wykonywał z pełnym zaangażowaniem, wręcz z pasją. Pasją na miarę czasu i możliwości. Działał w zgodzie z myślą Konfucjusza (551 p.n.e. - 479 p.n.e.): „Rób to co lubisz, a nigdy nie będziesz pracował”. Nienormowany czas pracy – czy to się dziedziczy?

Ojciec

Oczywiście bardzo trudno jest w krótkim tekście, w formie wspomnienia, przedstawić bilans Jego życia. Wcześniejsze publikacje poświęcone poszczególnym formom aktywności Ojca przedstawiły je bardziej szczegółowo. Natomiast w setną rocznicę urodzin chciałbym raczej przypomnieć parę osobistych wspomnień.

Ojciec ożenił się w lutym 1951 roku ze Stanisławą z domu Wrona. Tata miał na utrzymaniu liczną gromadkę dzieci. Wiele czasu poświęcił rodzinie, głównie wychowaniu i kształceniu córki Zosi oraz sześciu synów: Ryszarda, Andrzeja, Wojciecha, Jana, Marka i Kazimierza. Rodzina Kuligów do 1989 roku mieszkała w niewielkim drewnianym domku, tzw. „Ogrodnikówce”, położonej na terenie ogrodu. Śmiało mógłbym stwierdzić, że mieszkaliśmy w zakładzie pracy Taty. W dzisiejszych czasach sytuacja dość trudna do wyobrażenia. Miało to oczywiście wpływ na funkcjonowanie całej rodziny. W latach 60. i 70. ubiegłego stulecia, oznaczało to m.in. pracę Taty na kilku etatach (ogrodnika i kierownika oraz dozorującego teren ogrodu i system ogrzewania cieplarni), a dla dorastających synów zaangażowanie w wykonywanie niektórych prac pomocniczych, np. opuszczanie okien w inspektach, zamykanie okien w szklarniach, a jesienią lub na wiosnę przykrywanie inspektów słomianymi matami.

Ojciec pozostał postacią, która odegrała w moim życiu istotną rolę. Nie jest to chyba nic nadzwyczajnego, chciałbym jednak o tym wspomnieć, ponieważ



Stanisław Kulig z żoną Stanisławą i dziećmi: Zosią, Ryszardem, Andrzejem i Wojciechem na drodze (pomiędzy krzewami porzeczek i agrestu) z ogrodu do miejskiego parku – koniec lat 50. ubiegłego wieku

zarówno w przeszłości, jak i dzisiaj, w szerszym horyzoncie (czasowym), widzę pozytywne wyniki konsekwentnej postawy i pracy mojego Taty. Dotyczy to kilku sfer życia.

Uważam, że był człowiekiem, który bardzo spokojnie, bez narzucania swojej opinii czy decyzji, doradzał nam jak postępować w życiu i jakich dokonywać wyborów. W moim przypadku, jednym z dylematów, który musieliśmy rozstrzygnąć w domu, był wybór szkoły średniej. Idąc za przykładem Ojca brałem pod uwagę Technikum Ogrodnicze w Gumniskach – Tarnowie i odległe Technikum Gospodarki Wodnej w Dębie (do którego kilka lat później trafiłem na praktykę dydaktyczną). Wtedy to Tata radził, aby mimo moich zainteresowań związanych z ogrodnictwem i meteorologią, kierować się jednak w stronę nauk związanych z matematyką (którą lubiłem) i ekonomią. Stąd wybór Technikum

Ekonomiki Rolnictwa w Marcinkowicach. Następne decyzje, m.in. dotyczące studiów, należały już w większym stopniu do mnie, ale zawsze mogłem liczyć na dobrą radę, czy życzliwy komentarz Taty. W efekcie skończyłem studia na kierunku Inżynieria Środowiska, specjalizując się w zakresie systemów ochrony atmosfery i meteorologii technicznej, a w pracy zawodowej zajmuję się także ochroną powierzchni ziemi, czyli nie odbiegłem daleko od młodzieńczych zainteresowań ukształtowanych w limanowskim ogrodzie.

Doświadczenia, nazywane potocznie życiowymi, były również przedmiotem naszych licznych rozmów i obserwacji. Tata pod koniec lat 50. ubiegłego stulecia podjął decyzję o budowie domu rodzinnego na działce, którą otrzymał od swojego ojca Michała. Budowa absorbowала go przez wiele lat. W pewnym okresie jako dorastający synowie, pomagaliśmy

w tym przedsięwzięciu, przy realizacji konkretnych prac. Ale równocześnie to zaangażowanie w budowę domu, było okazją do wspólnych wędrówek z Tata z ogrodu przez tak zwane dworskie pola na Gwizdówkę. Osobiście bardzo lubiłem te spacerki, ponieważ przy tej okazji mogłem posłuchać różnych historii, niekiedy wspomnień z okresu okupacji, zwłaszcza, że nieczęsto byliśmy słuchaczami opowieści z okresu bez wątpienia trudnego, jakim była wojna, okupacja czy lata bezpośrednio powojenne. Przy okazji wspólnych wędrówek mogłem również podzielić się swoimi przemyśleniami. Jako przykład wspomnę rozmowę o moich planach dotyczących „badań” tego co gołym okiem nie jesteśmy w stanie zobaczyć. Wtedy to zapytałem Tatę, czy byłaby możliwość zakupienia mikroskopu. Dzisiaj, po latach, widzę, jak był to nierealny czy marzycielski pomysł. Aczkolwiek Tata ani mnie nie wyśmiał, ani nie skrytykował. Przedstawił jedynie ograniczone (głównie finansowe) możliwości w tym zakresie. Dlatego, po wielu latach, kiedy miałem możliwość uzyskać mikroskop do swoich prywatnych celów, szybko z niej skorzystałem, licząc, że będzie to fantastyczny prezent dla moich dzieci.

Mogę powiedzieć, że Tata był człowiekiem dość zasadniczym, poważnym. Pamiętam taką oto sytuację, kiedy to miałem za zadanie zaopiekować się domem i młodszym rodzeństwem, bo rodzice poszli na jakieś spotkanie. Grając w piłkę, zbiliśmy szybę w oknie od pokoju. Ojciec stwierdził jedynie: *przecież prosiłem cię, abyś pilnował porządku*. W tym momencie pomyślałem, że bolałoby mniej, gdyby spotkała mnie jakaś kara cielesna. Natomiast w naszym domu nie było „siłowego” rozwiązywania problemów wychowawczych. W świetle dzisiejszych dyskusji o wychowaniu dzieci, wydaje się to być bardzo dobrym przykładem. Również z perspektywy czasu

widzę, w jak tolerancyjnym środowisku mieliśmy okazję żyć. Nigdy nie spotykaliśmy się z prezentacją postaw ksenofobicznych. Tutaj muszę stwierdzić, że Tata, razem z Mamą, uważali, że wszyscy jesteśmy równi. Tata był zaangażowany w pomoc dawnej mieszkance dworu Marsów – Róży Pik (1883 - 1971), która mieszkała w podworskim budynku i w podeszłym wieku wymagała opieki. Natomiast Mama pomagała zaprzyjaźnionej rodzinie limanowskich Romów, m.in. przekazując do dalszego wykorzystania wiele nieużytych ubrań.

Ojciec był człowiekiem wiary. Pamiętam, jak w niedzielne poranki w domu rodzinnym rozlegał się Jego śpiew do słów Franciszka Karpińskiego (1741 - 1825): „*Kiedy ranne wstają zoroze...*”. Natomiast w połowie sierpnia, przed świętem nazywanym popularnie Świętem Matki Boskiej Zielnej, szedł na pola (na Mazowszu napisałbym „na dwór”) i zbierał kłosa zbóż, lecznicze zioła oraz kwiaty i owoce, aby przygotować bukiet do święcenia.

Znane przekleństwo mówi: *obyś żył w ciekawych czasach!* Bez wątpienia Stanisław Kulig żył w ciekawych czasach. Ale nie był On postacią z duszą rewolucjonisty, pasującą do „ciekawych czasów”. Realizował się raczej w duchu pozytywistycznym, z dostrzegalną nutą romantyzmu. Stąd też odnosił się do otaczającej go rzeczywistości z dystansem. Dzisiaj również przyszło nam żyć w „ciekawych czasach” i przyznam, chętnie porozmawiałbym z Ojcem na ten temat. Czuję, że nie zawiódłbym się na Jego ocenach.

Tak więc, patrząc z perspektywy lat, stwierdzam, że to co dzisiaj mogę robić, czym się interesuję, jak mogę realizować swoje pasje, wynika z doświadczeń wyniesionych z domu rodzinnego, w okresie, może krótkim, ale jednak ważnym, gdy żyłem w Limanowej oraz mieszkałem w ogrodzie w sąsiedztwie dużego podworskiego stawu i parku miejskiego.

Pro memoria

Ojciec zmarł 25 stycznia 1991 roku. Będąc w szpitalu po operacji przepukliny przygotowywał się do wyjścia na uroczystości 40-lecia ślubu. W dniu wypisania ze szpitala, wczesnym rankiem, zmarł nagle w wyniku zatoru płucnego. Wyjeżdżając z Limanowej po wakacjach w roku 1990 na roczne studia podyplomowe w Holandii nie przypuszczałem, że jest to moje ostatnie spotkanie z Ojcem. Na odejście bliskich osób zwykle nie można się przygotować. Śmierć zawsze przychodzi nie w porę – za wcześnie, za szybko. Nie pyta, nie uprzedza, nie dyskutuje i nie zważa na okoliczności. Przychodzi i zostawia ból, który ukoić mogą tylko czas i wspomnienia wspólnie przeżytych chwil. Wspomnienia to dar, który łagodzi smutek rozstania. Trzeba je pielęgnować.

Stanisław Kulig został pochowany na limanowskim Cmentarzu Parafialnym w rodzinnym grobowcu. Dzisiaj nie ma w Limanowej ogrodnika i nie ma miejskiego ogrodu.

Od Autora: **Niniejszy artykuł wspomnieniowy powstał z inspiracji Stanisława Ociepki. Redaktor „Echa Limanowskiego” jest patronem, promotorem i autorem licznych artykułów biograficznych poświęconych limanowianom. Dziękuję Jemu za to.**

**Andrzej KULIG,
syn ogrodnika z Limanowej**

Zdjęcia ze zbioru A. Kuliga
Warszawa, kwiecień 2018 r.



Teren dawnego ogrodu – widok od strony południowej A.D. 2016 (pozostał tylko budynek biurowy, obecnie zamieszkały, oraz zabudowania magazynowe)

Droga do wolności

W wydaniu marcowo-kwietniowym „Echa Limanowskiego”, przedstawiłem relację z wizyty Andrzeja Dudy, prezydenta RP w Stróży na inauguracji jubileuszu obchodów 100-lecia Odzyskania Niepodległości, która odbyła się 9 grudnia 2017 r. Podczas uroczystości jubileuszowych m.in. zaprezentowany został ogólnopolski projekt edukacyjny IPN „Akademia Niepodległości”, którego celem jest upowszechnienie wiedzy historycznej.

Przypomniałem również fragmenty archiwalnego artykułu z „Ilustrowanego Kurjera Codziennego” z 10 października 1933 r., opisującego uroczystość odsłonięcia tablicy wmurowanej w frontową ścianę szkoły z okazji dwudziestolecia pierwszej szkoły oficerskiej założonej przez Józefa Piłsudskiego.

Pogłębiając wiedzę w tym zakresie, aktualnie prezentuję pełny dokumentalny tekst (w oryginalnej pisowni) dr. Józefa Stankiewicza, zatytułowany „**Pierwsze polskie koszary, pierwsze polskie manewry**”.

Artykuł ukazał się w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym” w nr. 236 z 26 sierpnia 1933 r. Autor w tym artykule odnosi się do przygotowań związanych z obchodami 20-tej rocznicy Pierwszej Strzeleckiej Oficerskiej Szkoły w Stróży. Barwnie opisuje okolice Stróży, wsi znajdującej się w powiecie limanowskim. Uzasadnia, dlaczego Stróże zostały wybrane przez Komendanta Józefa Piłsudskiego na pierwszą szkołę strzelecką.

Pisze również o warunkach, w jakich odbywały się szkolenia i o atmosferze panującej podczas kursu, który trwał od lipca do końca sierpnia 1913 r. i został zakończony pierwszymi polskimi manewrami ze Stróży do Zakopanego.

Warto również dodać, iż atmosfera polityczna w Europie na początku XX wieku stawała się coraz bardziej napięta.

Józef Piłsudski, obserwując rozwój wypadków, słusznie przewidywał, że wybuch powszechnego konfliktu zbrojnego jest kwestią czasu.

Pragnienie odzyskania niepodległości w Polsce nasilało się, szczególnie entuzjazm wzrastał wśród młodzieży. W obliczu zbliżającej się wojny zaczęły tworzyć się w Galicji tajne i jawne organizacje wojskowe, które w wypadku wojny miały być oddziałami polskimi. Taką organizacją był Związek Strzelecki – paramilitarna organizacja społeczno-wychowawcza powstała w 1910 r. we Lwowie i działająca do 1914 roku. Stanowiła ona podstawę do budowania struktur wojskowych Legionów Polskich. Od 1912 r. Komendą Główną Związków Strzeleckich we Lwowie kierował Józef Piłsudski (Komendant), a szefem sztabu był Kazimierz Sosnkowski.

W maju 1913 r. zlikwidowano Komendę Główną, jej funkcję przejął Wydział Wojskowy Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, którego również komendantem wojskowym został Józef Piłsudski.

W chwili wybuchu I wojny światowej Związek Strzelecki liczył 6449 przeszkolonych strzelców, w okręgu krakowskim 3682 strzelców.

Ziemia Limanowska sprzyjała tym organizacjom przykładem jest kolejny artykuł zatytułowany: „*Obóz wojskowy strzelców pod Limanową*”, który ukazał się w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym”, nr 201 z 31 sierpnia 1913 roku, czyli w okresie działalności szkoły strzeleckiej w Stróży. Treść tego artykułu w oryginalnej pisowni prezentuję w drugiej kolejności. Zachęcam więc Czytelników „Echa” do pogłębienia własnej wiedzy historycznej związanej z naszym regionem.

Stanisław Ociepka

Cena numeru w Krakowie: 25 gr.		Nal. poczt. opl. gołąbką		Wydanie szóste	
ILUSTROWANY KURJER CODZIENNY					
Dzielnice nie wysłać — Listy należy adresować do Redakcji, a nie do pocztowizniowców — Za dzień subskrypcji nie odpowiadamy.		Założyciel i Naczelny Redaktor Marjan Dąbrowski		Naczelny Redaktor przyjmuje: w poniedziałki i soboty od godz. 1—2 po południu.	
Yubileusz Centralne drukarnie (od p. 8—27) 130-80; Numery osobne: Redakcja (od p. 22—31) 130-81, 130-82, 130-83, 130-84, (od p. 7—21) 130-85.		Kraków, Wielopole L. 1.		Konto P. K. O. 400.200 Konto żyrowe: Bank Gosp. Kraj. — Kraków.	
ODDZIAŁY: WARSZAWA, Krak. Przedmieście 9, tel. 551-90, 551-91 i 551-92. POZNAŃ, św. Marceja 48, tel. 27-23. BYDGOSZCZ, ul. Głęboka 14, Hotel pod Orłem, tel. 16-15. TORUŃ, ul. Przeradzance 20, tel. 233. (Józef B. Dury).		GDYŃIA, ul. Świętojózefa, tel. 12-70. LWÓW, Koperska 1, 9, telefon redakcji 40-58, telefon telefonu 41-68. NOWY WOLNYŃSKIE, ul. 3 Maja 226. ŁÓDŹ, ul. Postkowska 88, tel. 107-08.		SOSNOWIEC, Dębska 11, tel. 11-90. KATOWICE, Miarzecka 1, tel. 6-53. WILNO, Wileńska 26, tel. 14-82 i 480. NOWY SĄCZ, Jagiełłowska 20, tel. 94. ZAKOPANE, Kasprowki, telefon 227.	
Rok XXIV.		Kraków, sobota 26 sierpnia 1933.		Nr. 236.	

Pierwsze polskie koszary, pierwsze polskie manewry

Dr Józef Stankiewicz – IKC 26 sierpnia 1933 r., nr 236

U południowych granic Rzeczypospolitej na przestrzeni około 100 000 ha na ciekawie – terytorjum, wtłoczone – między myślenicki, bocheński, nowotarski i nowosądecki powiat – terytorjum będące ziemią o surowej, właściwie skalistej dzikości.

Około 90 gmin zamieszkiwanych przez blisko 100 000 mieszkańców połączono

już w powiatowy samorząd, z siedzibą w górskim miasteczku Limanowej. Ubogim jest ten podhalański teren w skarby materialne, w produkty ziemskie – ale w nagrodę za to materialne ubóstwo wyposażyła Opatrzność ów powiat i to szczerze, w piękny górski krajobraz. Malowniczość limanowskiej okolicy i cudotwórcze powietrze ściąga

rok w rok w te strony turystów, a jeszcze więcej szukających spokoju letników, którzy nadziwić się nie mogą tym stromym zboczom, brzegom dzikich rozhlukanych potoków, tym wspaniale spiętrzonym skałom, ubranym górą kosodrzewiną, dołem w zachwyty poryjającą ciemnią smrekową.

Ani czarnemi brylantami, ani żadną rudą nie wspomógł ten powiat Narodu – dostarczył jednak polskiemu krajowi doskonałego ludzkiego materiału, a nawet wydał ze siebie wielkich duchów szermierzy narodowej mowy śp. Władysława Orkana z Poręby i śp. Jerzego Żuławskiego z Młynnego.

Zbiorowy wysiłek ludności wiejskiej stworzył z powiatu słynną światową pepinierę hodowli czerwonego polskiego bydła – a w ostatnich czasach w dziedzinie wychowania wiejskiego wartościową rolniczą szkołę w Łososinie. Gościnność i odczuwanie Ojczyzny przez wieśniaków pow. limanowskiego wzbudziła u Marszałka Piłsudskiego sympatię dla



Członkowie Związku Strzeleckiego na zbiórce. Widoczny m.in. dowódca I plutonu Tadeusz Monasterski (na pierwszym planie) - sierpień 1913 rok

całej tej ziemi, czemu dał piękny wyraz w swoich Wspomnieniach Magdeburgskich.

Bo też i prawda, że ten lud zdradza uśpione siły i ukryte źródła życia. Za krzywdę ziemskiej nędzy Sprawiedliwość Nadziemska dała temu górskiemu ludowi siłę fizyczną i moc ducha – w Młodej Polsce z tego powiatu zrobiła przecho-wawców i strażników najżywotniejszych narodowych legend!

Pola limanowskie zrosiła silnie – święta ofiarna krew młodzieży legionowej. Wszerz i wzdłuż tego zakątka Podhala zmagaly się w bojach szare sponiewierane wojennym trudem postacie, na widok których łzy radości spływały po twarzach limanowskiego ludu.

Było to w roku 1914 i 1915. Ale jeszcze wcześniej – bo w miesiącu lipcu 1913 roku. Obywatel Mieczysław (Józef Piłsudski) przybył do tego właśnie powiatu do ustronnej wioski – Stróży – do tego pracującego fizycznie, cierpiącego wiejskiego ludu, bo czuł, że i jemu wśród nich będzie najmilej i najbezpieczniej.

Niechaj każdy nie tylko po polsku czujący, ale i myślący polski obywatel przyjrzy się tej wiosce, niech ją z bliska obejrzy i ten wśród wioski stojący staropolski, wiekowy dworek, a dowie się

o Wielkiej Polskiej Legendzie – związanej nierozzerwalnymi węzły z tym budynkiem. Dworek stróżański ma w tym roku 1933 szczególną wymowę – jest on pomnikiem polskiej legendy; te staropolskie szlacheckie zabudowania, to Pierwsze Polskie Wojskowe Koszary, a wioska Stróża, to teren na którym odbywały się w roku 1913 Pierwsze Polskie Manewry. W roku 1913 w tym dworku urządzono w miesiącu lipcu Letnią Szkołę Instruktorów Związku Strzeleckiego.

Obywatele tego zapomnianego powiatu limanowskiego nie dla ziemskiej rozchwały, nie gwoli schlebiania i bizantynizmu – ale z niekłamanej przekonania, że przykazaniem dobrego Polaka – przechowywać, czcić i pokoleniom przekazywać każdą narodową legendę, bo legenda to ideowo-uczuciowa więź narodu i jego równocześnie dogmat – postanowili w roku 1933 w miesiącu wrześniu jak 20 Rocznice Pierwszej Strzelectwo – Oficerskiej Stróżańskiej Szkoły wmurować pamiątkową tablicę w ścianie tych koszar i urządzić obchód przy koleżeńskim zjeździe uczestników Szkoły zarówno komendantów, jak i elewów. Obywatelski Komitet Obchodów zebrał już dosyć pokaźny historyczny

materiał dotyczący genezy i przebiegu tych wojskowych instruktorskich kursów, a to niektóre daty zaciągnięte z korespondencji przeprowadzonej z niektórymi uczestnikami.

Szkoła Stróżańska – jakby szkoła kadetka stanowiła szkolną kompanię, złożoną z czterech plutonów.

Wykładowcami w niej byli Komendant Główny Związku Strzeleckiego (Józef Piłsudski, pseudonim Mieczysław), szef sztabu Głównej Komendy (Sosnkowski, pseudonim Józef, dowódca szkolnej kompanii (Mieczysław Trojanowski, pseudonim Ryszard), wreszcie oficerowie, którzy byli równocześnie stałymi dowódcami plutonu (Gen. Tokarzewski, pseudonim Karasiewicz, śp. major Wyrwa Furgalski, Oldakowski, pseudonim Jerzy, śp. Monasterski, pseudonim Kordjan, Stanisław Killay, pseudonim Stanisław).

Przedmiotem ich wykładów była *taktyka, nauka broni, walki rewolucyjnej, służba polowa, historia wojskowa etc.*

(ciąg dalszy na stronie 45)

Wyprawa Too-tiki

Część I: Z Lizbony na Kanary

Filip Sułkowski

Mieszkający w Krakowie limanowianin, z zawodu grafik, miłośnik żeglarstwa i garażowego szkutnictwa, w listopadzie 2017 r. rozpoczął wraz z towarzyszącą mu Iwoną Januszką swój, od dawna planowany, rejs oceaniczny na własnoręcznie zbudowanej 6-metrowej łódce. Czytelnicy „Echa” mieli okazję poznać jego wcześniejsze żeglarskie przygody na Wiśle, Bałtyku i Morzu Norweskim (numery: 194-195, 206-207 i 226-227).

Podobno podróż zaczyna się, kiedy podejmiemy decyzję. Przygotowania do tej wycieczki trwały długo, bo około 3 lata. W 2013 roku po powrocie z rejsu podjąłem z Iwoną decyzję o budowie nowej łódki i popłynięciu z pasatami przez Atlantyk. Chciałem po prostu zobaczyć te wszystkie miejsca, o których czytałem za dzieciaka, a dotarcie tam łódką wydawało i nadal wydaje się najprostszym sposobem. Plan zakładał dotarcie do Lizbony, zwodowanie tam Too-tiki, popłynięcie z prądem i wiatrem, wzdłuż Portugalii i Afryki, na Wyspy Kanaryjskie, a potem dalej na południe, aż do pasatów i z nimi na zachód na Karaiby. Jeśli wszystko pójdzie dobrze dalej na Kanał Panamski i, może, może, na cudowne wyspy Pacyfiku. Trasa tzw. pasatowa należy do najbezpieczniejszych i najprzyjemniejszych szlaków żeglarskich na oceanach. W sezonie, który trwa od końca października do początków maja, wieją tam stałe, średnie wiatry. Praktycznie nie występują tam sztormy, chociaż zwykłe burze mogą się zdarzyć. W żegludze pomagają też prądy, którego wody pędzą od Kanarów aż na Wyspy Zawietrzne z szaleńczą prędkością 0,5-1,5 węzła (1 węzeł to 1852 m/h). Poza sezonem szlak jest pusty, a głównym tego powodem są huragany, które najczęściej szaleją w sierpniu i wrześniu. Co roku tysiące żeglarzy, wioślarzy (a kilka lat temu nawet pewien dojrzały kajakarz z Polic) pokonują tę trasę. Spora część zostaje na Karaibach, ponieważ szlak powrotny, biegnący przez północny Atlantyk jest mniej bezpieczny, a przy tym dłuższy.

Moja stara, odkrytopokładowa i czteronastopopowa Trinidad, choć dzielna, była stanowczo za mała na ocean. Potrzebowałem czegoś ciut większego. Zrobiłem szybki szkic i wysłałem zamówienie do konstruktora, tego samego,



Górka Borkowska, Kraków. W dwie osoby praca idzie trzy razy szybciej. Tu pomoc nadeszła od brata Michała i koleżanki Beaty

który zaprojektował wcześniej naszą Trinidad. Jachcik miał być zbudowany ze sklejki i żywicy epoksydowych metodą szycia i klejenia (ang. stitch&glue), mieć drewniany maszt o ożagłowaniu gąflowym (prostota konstrukcji), półtonowy balast i długość sześciu metrów. Dlaczego akurat sześć? Ponieważ ta długość gwarantowała minimum komfortu przy w miarę znośnych kosztach budowy i późniejszej eksploatacji. Innymi słowy: budowaliśmy taki jacht na jaki było nas stać. W oczekiwaniu na projekt musieliśmy znaleźć miejsce, w którym zbudujemy nasz jacht. Z pomocą przyszli znajomi, którzy akurat kupili dom z działką w Krakowie i udostępnili nam kilka metrów kwadratowych w ogrodzie. Budowa zaczęła się słamazarnie; czy to przez modę na budowanie własnych łódek, czy przez boom w stoczniach, dość, że długo musiałem czekać na wodoodporną sklejkę do konstrukcji kadłuba. Gdy już przyszła, budowa ruszyła z koppyta, poświęcałem jej każdy wolny czas.

W 2016 roku z pomocą brata Michała i jego znajomego zawieźliśmy Too-tiki

nad Zatokę Gdańską. Pierwsze pięć dni zajęło nam zamontowanie balastu do kila, założenie takielunku itp. Niestety brak pieniędzy zmusił nas do powrotu do Krakowa po dwóch tygodniach. W następnym roku, w czerwcu,

przeprowadziliśmy się z Iwoną na jachcik, żeby trochę zaoszczędzić. Rozdaliśmy znajomym nasz dobytek, zostawiając sobie tylko kilka zimowych ubrań. Do Gdańska zabraliśmy też rowery, ponieważ z naszej przystani daleko było do sklepu i na plażę. Był to niejaki sprawdzian, czy wytrzymaemy ze sobą na przestrzeni około czterech metrów kwadratowych. Czas spędzony w Gdańsku poświęciliśmy na drobne ulepszenia, pracę i trening żeglarski na zatoce. Tymczasem zbliżał się wcześniej ustalony termin wyjazdu, a my nadal nie wiedzieliśmy, jak zawieźć naszą baryłkę do Lizbony. Co prawda „życzliwi” proponowali nam po prostu wypłynięcie z Gdańska i skierowanie dziobu na zachód, ale najlepszy termin na tę trasę minął w sierpniu. Teraz czekałaby nas mgła na Kanale la Manche i zdradliwa Zatoka Biskajska, z którą nie zamierzałem zadzierać. Pomoc przyszła zza płota, dosłownie. Tuż za ogrodzeniem, kilkanaście metrów od miejsca, gdzie staliśmy, stał piękny drewniany jacht, którego właścicielem jest Bartek Czarciński. Bartek to człowiek instytucja i gdyby go



Górki Zachodnie, Too-tiki tuż przed opuszczeniem na wodę

zamknąć w jakimś przetworniku, starczyłoby energii na średniej wielkości miasteczko. Przez siedem lat budował swój jacht o długości ponad siedmiu metrów w szopie pod Kaliszem. Wyplłynął w czerwcu, a po trzech miesiącach jego jacht został wyrwiony i zdemolowany przez posztormową falę w okolicy Przylądka Dobrej Nadziei. Uratowany przez kontenerowiec, wrócił do kraju w tym, co miał na sobie. Ratowanie życia na morzu jest darmowe, ale dobytka już nie. W każdym razie okazało się, że łączą nas wspólne interesy. Otóż Bartek miał zamiar wydać świeżo co napisaną książkę pewnego Słynnego Żeglarza. Tak się złożyło, że ów Słynny Żeglarz jest również moim znajomym i kilka miesięcy wcześniej zrobiłem dla niego okładkę, nie wiedząc wtedy jeszcze, kto będzie wydawcą. Wyjaśnwszy sytuację nieśmiało więc zasugerowałem, że wolę transport naszej łodzi zamiast pieniędzy. Bartek przystał na propozycję, znalazł samochód z ławetą i kierowcę (siebie), czym uratował nasze skromne plany. Niestety nie wykpił się tanim kosztem, ponieważ za paliwo i wypożyczenie ławety i tak musieliśmy dołożyć z naszego niewielkiego budżetu.

Pokonanie ponad trzech tysięcy kilometrów z Kalisza do Portugalii zajęło nam trzy dni. Łódkę zwodowali w Seixal, niewielkiej miejscowości pod Lizboną. Dawna wioska rybacka położona jest nad zatoczką na Tagu, którego pływy wlewają i wylewają się



Zakładamy pierwszy raz żagle

w sześciogodzinnych interwałach. W Seixal mariny jako takiej nie ma. Płytko zatoka przy odpływie zamienia się w wielkie bagno. Jachty stoją na wykopanym w mulistym dnie kanale prowadzącym do niewielkiej stoczni na końcu zatoczki (do której i tak da się dopłynąć przy odpływie). Łódki cumują przy bojkach, które są przymocowane do dna grubym łańcuchem. Do brzegu mogliśmy dostać się na dwa sposoby: dopłynąć dmuchanym kajakiem, który pełni u nas funkcję jednostki desantowej lub zadzwonić do bosmana, który przypląwał małą motorówką. Z tym dzwonieniem to było różnie. O ile w informacji turystycznej nie było problemu z dogadaniem się, o tyle bosmani pielęgowali najlepsze tradycje pidgin english. Odpowiadało nam to zresztą, nasze targi przebiegały

głośno i wolno. Poza kotwicowiskiem zmuszeni byliśmy do twórczej improvizacji na temat języka portugalskiego. Sztuką samą w sobie było zamówienie pysznych tostów w pobliskiej piekarni.

W Seixal spędziliśmy trzy tygodnie. Główną przyczyną było oczekiwanie na rejestrację naszych urządzeń ratunkowo-asekuracyjnych przez polskie urzędy. Dni mijały a my wykorzystaliśmy je do drobnych prac na łódce. Pomalowaliśmy pokład farbą antypoślizgową i przykleiliśmy korkowe podkładki w kokpicie. Przymocowaliśmy sztormrelingi, zamontowaliśmy antenę do AIS i założyliśmy nowe siatki na owoce pod sufitem kabinki. Zrobiliśmy też zapasy na podróż. Ceny w Portugalii są podobne do polskich, więc nie widzieliśmy sensu kupowania cebuli, pasztetów i konserw turystycznych w Najjaśniejszej Rzeczypospolitej,

skoro za podobną kwotę mogliśmy na być smakołyki z Półwyspu Iberyjskiego. Poza 120 litrami wody, która miała starczyć na 20 dni rejsu (planowaliśmy 10), kupiliśmy suchary, puszki z pomidorami i ciecierzycą (Iwona gotuje zawodowo), ryż, makarony, tony czekolady, ciastek, kawę, herbatę i kilka kilogramów słodkich, portugalskich pomarańczy. Poza owocami kupiliśmy też trochę warzyw, ale niewiele, ponieważ w ciepłym klimacie szybko się psują, a nasza instalacja elektryczna nie pozwala na uruchomienie lodówki. Substytutem pieczywa był paskudny gumowy chlebek tostowy, który w cudowny sposób nie psuje się przez długie tygodnie. Na wszelki wypadek kupiliśmy też karton wina, w razie, gdyby wyrzuciło nas na bezludną wyspę. Należy być przygotowanym na różne

► okoliczności. Z puszek zerwaliśmy etykiety, ponieważ w wilgotnym środowisku i tak szlag je trafia.

Wy płynęliśmy w sobotni poranek 25 listopada 2017 r. Planowaliśmy wystartować z odpływem o 8.00. Niestety nasz gumowy kajak stawiał zacięty opór przy próbach wyciągnięcia. Wyciągnięcie go, odpompowanie i przywiązanie na fordeku zajęło nam całą godzinę. Odpływ teżała, wyciągnęliśmy kotwicę i zapuściliśmy silnik. Prąd dosłownie wypłynął nas z zatoczki i skierował w stronę głównego nurtu Tagu. Po odejściu od płyczn postawiliśmy żagle i minęliśmy po prawej burcie Lizbonę. Prognozy zapowiadały wiatry zmienne, a więc zgodnie z prawem Murphy'ego wiało nam w dzień. Jeszcze na rzece wiatr odkręcił na zachodni i musieliśmy z mozołem wyhalsować się na ocean. Przy ujściu fale zrobiły się większe, więc przewieszeni przez burty podziwialiśmy z zapałem nieprzeniknioną toń oceanu. Pierwsze trzy dni mieliśmy płynąć wzdłuż brzegu, by w razie większej niepewności móc powrócić na z góry upatrzone pozycje. Przesadziliśmy jednak z tą asekuracją i ledwie się telepiemy przy prawie zerowym wietrze. Pierwsza noc minęła spokojnie. Blisko brzegu zachowujemy czujność i zmieniamy się na wachtach. W kokpicie jest całkiem wygodnie, może tylko przeszkadza uprząż, którą przypinamy się do łódki. Zasada jest prosta, wychodząc na pokład z kabinki od razu się przypinamy. Wypadnięcie z łódki do wody w nocy, zwłaszcza przy silniejszym wietrze jest bardzo niebezpieczne. Szanse na znalezienie i wyłowienie topielca są niewielkie. A manewrowanie przy naszym czterdziestoletnim silniczku na kilkumetrowej fali mija się z sensem. Później, już w Las Palmas, dojdą do nas wieści o pewnym Polaku, który wypadł z jachtu przed Karaibami. Tymczasem założenie grubego sztormiaka i kamizelki asekuracyjnej w małej, rzucanej falami becze, jaką jest Too-tiki, to pokaz największej akrobacji. Już sama myśl o tym przyprawia o mdłości. Po przypięciu, wyjściu i doczołganiu się do rumpla zazwyczaj dajemy sobie chwilę na kilka głębokich wdechów. Oszczędzamy się, więc rzadko razem siedzimy w kokpicie. Kiedy jedno z nas pilnuje steru, drugie pędem czołga się do kabinki, żeby uciąć sobie drzemkę.

Drugiej nocy zbliżamy się do rutyny, szlaku do Europy, którym przemierzają



Krótki odpoczynek po złożeniu instalacji elektrycznej w skrzynce po winie (prawy górny róg)

statki z całego świata. Nieprzerwany ciąg sunie z północy na południe i z południa na północ. Przy tych kolosach jesteśmy drobinką. I to wolną drobinką, statki na szlaku pędzą około 15 mil na godzinę, my telepiemy się niecałe dwie. Dodatkowym zabezpieczeniem jest transponder AIS – zmyślny nadajnik, który przesyła statkom w pobliżu naszą pozycję, podaje odległość od innych jednostek i ostrzega przed ewentualną kolizją, co sygnalizuje morderczym uszy piszczeniem. Co prawda jako żaglowiec (tu jesteśmy prawnymi purystami) mamy pierwszeństwo przed motorowymi statkami, ale stosunek masy rzędu setek tysięcy do jednego przemia na naszą niekorzyść. W nocy rozpoznajemy statki po światelkach, zazwyczaj statek ma dwa, jedno nisko z przodu i drugie wysoko z tyłu. Jednak w nocy, z braku punktu odniesienia, kilka razy tracimy orientację i nie wiemy, czy jesteśmy przed, czy za statkiem. Poza tą stresującą sytuacją pływanie w nocy ma w sobie coś pociągającego. Nieustający chłopot i bulgot wody, kołysanie i spadające gwiazdy (o ile nie pada i nie ma chmur) skłaniają do myślenia o rzeczach Wielkich i Pięknych. Wtedy to umysł rodzi rozwiązania problemu głodu i wojen na świecie, ulepszenia cywilizacji lub – jak najlepiej zrobić kanapkę z kotлетem.

Po przejściu rutyny dni miały spokojnie. Z czasem zaczęliśmy nabierać rutyny. Planując rejs, przeoczyliśmy jednak fakt, że przecież będziemy płynąć w zimie. Noce są długie, a temperatura też nie szaleje – co prawda w dzień jest około 20 stopni, ale nieustanny wiatr wyziębia. Zmieniamy się z Iwoną co kilka godzin. Ustawiamy samoster i mamy trochę

więcej czasu na gapienie się na wodę. Trochę nie mam zaufania do tego samosteru, ale płyniemy na przednich żaglach i tylko z rzadka trzeba go korygować. Zaczynają nas boleć tyłki, od słonej wody strasznie nas swędzą. Krajobrazy zmieniają się z dnia na dzień. Jednego dnia ocean jest ołowiany, innego granatowy... Kilka razy płyną z nami delfiny. Są wściekle szybkie i nim Iwona poleci po aparat, łobuzy zdążą odpłynąć.

Trzeciego dnia na trawersie mijamy Przylądek Świętego Wincentego. Od teraz nie ma powrotu. Wiatry i prąd niosą nas na południe, w stronę Wysp Kanaryjskich. Znika też definitywnie zasięg komórek. Łączność ze światem mamy za pomocą inreach'a, niewielkiego komunikatora satelitarnego. Dzięki niemu otrzymujemy od znajomych świeże prognozy pogody. Ta zaś zapowiada się wyśmienicie. Co prawda słońce wstydliwie chowa się za chmurami, za to wieje stabilny wiatr z północy. Płyniemy pod skrzydłem słynnego wyżu azorskiego. Fala sięga do dwóch metrów, ale jest łagodna i leniwa. Powoli przyzwyczajamy się do rutyny codziennego dnia. Piątego dnia jesteśmy w stanie na luzaka siedzieć w środku. Moglibyśmy nawet pograć w szachy, gdybyśmy je tylko znaleźli. Iwona zbiera się do ugotowania prawdziwego obiadu. Dopóki cierpieliśmy męki choroby morskiej, całkowicie wystarczały sucharki, jabłka i pomarańcze... Ach, portugalskie pomarańcze! Do tej pory śni mi się ich słodycz i lepkie od soku palce.

*(ciąg dalszy na stronie 37,
wkladka kolorowa na stronie 34)*

ORGANIZACJA PRZYJĘĆ OKOLICZNOŚCIOWYCH

Siwy Brzeg

Restauracja Siwy Brzeg
Limanowa, ul. Br. Czecha 4

tel. 18 3373 878

www.siwybrzeg.pl



Restauracja Stary Browar
Limanowa, ul. J. Marka 9

tel. 18 337 9999

www.starybrowar.siwybrzeg.pl



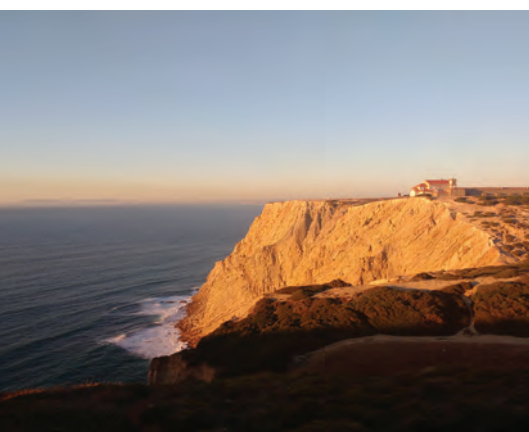
Zapraszamy!



Suszenie prania



Tradycyjne łódki rybackie przy odpływie w Seixal



Cabo de Espichel, kilka kilometrów na południe od Lizbony. Przyjechaliśmy tu zobaczyć zachód słońca



Gdzieś tam na trawersie mijamy Gibraltar

Wyprawa Too-tiki

Artykuł na stronie 30

Fotografie: Filip Sułkowski, Iwona Januszewska



Park Narodowy Garajonay na Gomorze, na ostatnim planie Teneryfa z Pico del Teide (3718 m n.p.m.)



Wyływamy z La Gomery na południe, na ocean



Borsuca dziura - zacisk w szczelinie



Czarci Dół - Nowa Komora



Czarci Dół - wyjście z progów nad Krzyżówką

Tajemnice podziemi

Artykuł na stronie 38

Fotografie: Adam Kapturkiewicz



Jaskinia latających kamieni - pomiary



Jaskinia Zbójcka w Łopieniu - komin prezesa



Producent Środków Czystości
od 1991 roku

golddrop.eu



**Polecamy się
do expresowych porządków!**

Gold Drop Sp. z o.o., ul. Rzeczna 11d, 34-600 Limanowa,
tel. 18 3376137

Wyprawa Too-tiki

Gotowanie na naszym kieszonkowym krążowniku wymaga poznania procedur i zasad bezpieczeństwa. Wynika to po części z faktu, że z braku funduszy nie dorobiliśmy się kardana – specjalnej huśtawki na palnik, która w miarę zachowuje poziom, chroniąc garnek przed wywrotką. Używamy zwykłej maszyny turystycznej na naboje, przykręconej do niewielkiego blatu przy zejściówce. Niestety maszyna nie posiada żadnych zabezpieczeń, więc gotując lub smażąc, trzeba jedną ręką trzymać garnek, drugą mieszać, a trzecią trzymać się czegokolwiek, żeby nie rozbić sobie głowy na fali. Odcedzenie makaronu pod względem skupienia i ostrożności przypomina wylew surówki w hucie.

Od czasu minięcia ruty nie spotykamy żadnych statków. Jesteśmy sami. Od czasu do czasu towarzyszą nam burzyki i głuptaki. Na trawersie Gibraltaru na wodzie zauważam dryfujący krowi placek. Dłuższe badanie okiem uzbrojonym i wymiana doświadczeń z Iwoną skłoniły nas jednak do podejrzenia, że widzimy przedstawiciela szlachetnego gatunku żółwi morskich. Po tygodniu na horyzoncie pojawiła się pierwsza z wysp – Lanzarote, a właściwie małeńka Isla de Alegranza. Znow zasięgi i możliwość pobieżnego zerknięcia na Internet. Ale kierujemy się na Gran Canarię, więc mijamy te pierwsze wyspy po lewej burcie. Nim dotrzemy do końca pierwszego etapu miną jeszcze trzy nieszczerne dni. Tymczasem znow pojawiają się statki, dostarczające wszelkie dobra na wyspy. Kończy się beztrudne lenistwo i powracają wachty. Dziesiątego dnia przed świtem dostrzegamy światła Las Palmas. W ciągu ostatnich pięciu godzin wiał mocny wiatr i zrobiła się paskudna, ostra fala. Nim pokonaliśmy ostatnie osiem mil, byliśmy cali mokrzy. Przez wąskie gardło wpłynęliśmy do mariny. Przybiliśmy do kei przy stacji benzynowej, gdzie cumy odebrali od nas... Polacy. Okazało się, że śledzili nas przez aplikację w internetach, myśląc nas przy okazji z innym typem łódki.

W porównaniu do Seixal marina w Las Palmas to wielki świat. Jest to jeden z dwóch głównych przystanków jachtów na drodze z Europy na Karaiby. Kto

nie ma pieniędzy albo raczej nie mieści się w marinie, ten staje na kotwicy przy miejskiej plaży. Po marinie szwendają się grupy jachtostpowców. Co prawda słyszałem wcześniej o tej formie podróży, ale nie spodziewałem się takiej skali. Najwięcej Polaków. Zasada jest prosta, chodzisz od jachtu do jachtu i szukasz jachtu z niedoborem załogi lub po prostu mającego miejsce. Jak masz szczęście, to weźmie cię za darmo Chilijczyk lub Nowozelandczyk, jak masz pecha: no cóż, popłyniesz, ale za cenę opłacenia jedzenia i wody. Ci z umiejętnościami żeglarskimi lub innymi (spotkaliśmy lekarke po studiach, cukiernika, kilku sterników morskich), mają największe szanse. Dla pewności należy wydrukować ogłoszenie i rozlepić w kilku kluczowych miejscach – w pralni mariny i pobliskiej tawernie. W marinie południowa „maniana” przybiera czasem formę epidemii. Żeglarze spędzają całe dni na płataniu się po marinie, odwiedzaniu starych, poznanych wczoraj znajomych, poznawaniu nowych, przechwalaniu się i dawaniu cudownych rad dotyczących niemal każdej dziedziny życia. Oczywiście najpopularniejszym tematem jest zazwyczaj cel podróży albo ostatni przelot, od którego kurtuazyjnie należy zacząć każdy small talk. Niemal każdy kapitan siłą ciągnie cię na statek, by pochwalić się nowym chromowanym kabestaniem, jak tanio kupił pomarańcze lub zadziwić cię swoim masztem. Oczywiście nie pozostajesz dłużny i zapraszasz nawzajem. Stąd całymi dniami po marinie ciągną karawany kapitanów udających się na wizytacje.

Las Palmas nie zachwyca swoim pięknem. Starówka jest mocno zaturszczona, choć daleko jej do uroku Krupówek w Sylwestra. Nowsza część miasta leży bardziej na północ, przypomina mokry sen deweloperów – bloki, bloki, bloki. Niemniej zwiedzamy skrzętnie: poznajemy miejską plażę, najtańszą jadłodajnię chińską (jesz ile chcesz za tylko sześć juro), podziwiamy architekturę ulicy burdeli, badamy najgłębsze zakamarki lokalnej Biedronki. Wkrótce wiemy wszystko i znamy połowę mariny. Po tygodniu pobytu przylatuje do nas znajomy. Wynajmujemy 25-letni zabytek za 10 euro

za dzień (vide „Dobre Rady Kapitanów”) i ruszamy na południe jedyną na wyspie autostradą, szczęśliwie trafiając na korek. W Puerto de Mogán są nasi znajomi, którzy przyплыли tam kilka dni temu. Spędzamy u nich noc na jachcie i jedziemy w interior. Południe wyspy szczyci się mottem „Wodę mamy tylko w pięciolitrowych baniakach po dwa euro”, więc okolica przypomina scenografię ze spaghetti westernu. Wycieczka w góry zajęła nam jeden dzień i pozostawiła spore uczucie niedosytu, które później musiałem nadrobić. Największe emocje wzbudziły w nas podjazd („Mam nadzieję, że ten zapach to nie palący się silnik”) i zjazd („Matko Boska, żeby te hamulce nie puściły!”).

Święta spędziliśmy jeszcze na Gran Canarii, ale już 27 grudnia wypłynęliśmy na La Gomere. Przelot w pięknym słoneczku i lekkim wietrze był czystą frajdą i trwał zaledwie półtora dnia. Do mariny wpływamy w środku nocy. Zaraz nikąd wyrósł bosman, który wskazał nam miejsce postoju i wręczył kartę do luksusowej portowej toalety. San Sebastian liczy sobie około 2000 mieszkańców i jest oazą ciszy i spokoju. Kiedy wstajemy rano ukazuje nam się wielka dolina, u której początku rozłożone jest miasto. Starówka rozciąga się wąskim pasem nad brzegiem sezonowej rzeki, ale większość domów przylepiona jest do zboczy doliny. Kilka palm przy deptaku i w parku, szare plaże i jałowe, porośnięte sucholubnymi krzakami góry dopełniają krajobrazu. Jesteśmy zachwyceni i przez pierwsze dni odkrywamy uroki spacerków (miasteczko można obejść w pół godziny) i leżenia plackiem na plaży. Małą niedogodnością jest miejsce naszego postoju. Ze względu na wystający z dziobu bukspryt staliśmy rufą do kei, nad którą prowadził deptak. Stąd też każdego ranka witało nas gromkie „Good morning! How are you! Nice boat” podziwiających naszą łódkę ciekawskich emerytów, na które równie gromko odrykiwaliśmy „Morning, I’m fine, thanks!”.

Tuż po Nowym Roku zarządziłem wycieczkę w góry. Przyznam się, że zawsze marzyłem, by wzorem Robinsona Crusoe, zdobyć jakąś górę z poziomu plaży. W informacji turystycznej przy głównym deptaku dali nam kilka całkiem przyzwoitych darmowych mapek z wyraźnie zaznaczonymi szlakami pieszymi i skalą ich trudności. Krótki rzut oka i było wiadome, że wodę, zgodnie ►

► z najlepszymi tradycjami karawan mułłów, będziemy musieli zabrać ze sobą. Uzbrojeni w sześć litrów, maszynkę na gaz i pałatkę wyszliśmy koło 10.00. Pierwsze cztery godziny były prawdziwą mordęgą. Południowe zbocza wypy są pustynią, z rzadka porośniętą karłowatymi, sucholubnymi krzaczkami. Nie pomagała tu Iwona, która za nic mając heroizm tej wspinaczki, przy każdym małym krzaczku odnajdywała ważki powód, żeby usiąść i odsapnąć. Powyżej 1000 metrów zaczęły pojawiać się palmy, potem kaktusy, trawa, a w końcu sosny i wawrzyny. Pod wieczór dotarliśmy do „zona recreativa” – czegoś na kształt miniparku z ławeczkami i miejscami na grilla. Mimo dość znacznej wysokości, położyliśmy się w śpiworach na pałatce pod kanaryjską sosną i daliśmy się porwać Morfeuszowi. Wczesnym świtem, mniej więcej o 10.00, obudziła nas horda rozwrzeszczanej młodzieży, która przyjechała z opiekunem na piknik. Nie mając tu nic do roboty, zwinęliśmy manatki i poddaliśmy tyły. Szlak piął się granią w górę, od czasu do czasu łącząc się z biegnącą nieopodal szosą. Klimat po drugiej stronie grzbietu zmienił się diametralnie i zobaczyliśmy zielone doliny z wiecznie zielonym lasem. Szlak biegł blisko głównej szosy łączącej wioski wybrzeża. Rachityczna zieleń zmieniła się w chłodny, wilgotny las wawrzynowy.

Osiągamy szczyt Alto de Garajonay (1487 m n.p.m.), 30 h od wyjścia z łódki. Tuż pod szczytem jest wygodny parking i przystanek autobusowy, więc cieszymy się pięknym widokiem wraz ze sporą grupką spacerowiczów. Ze szczytu widać całą wyspę, a także La Palmę i el Hierro na zachodzie, Teneryfę i kawałek Gran Canarii na wschodzie. Po nacieszeniu się widoczkiem zeszliśmy, na północ w stronę małej wioski El Cedro, położonej na wysokości około 800 m n.p.m. Ścieżka schodziła stromo w dół doliny przez środek parku narodowego. W wiosce (a właściwie niewielkiej osadzie z jedną drogą dojazdową przez góry) zalegały chmury i było dziwnie chłodno. Zależliśmy jedyne na wyspie schronisko z kempingiem i rozłożyliśmy fachowo pałatkę pod murkiem tarasu. Kosztowało to nas w sumie 3 euro. Rano w barze zjedliśmy po kanapce z lokalnym serem i zeszliśmy dalej doliną do wioski Hermigua. Im niżej schodziliśmy, tym więcej pojawiało się ogródków, zagonów



Seixal (wym. Seiszał). Michał z Iwoną wracają na łódkę naszym gumowym kajakiem



Roque Nublo, drugi pod względem wysokości szczyt Gran Canarii. Od parkingu do tego miejsca idzie się około 30 min.

i plantacji bananów, pomarańczy i makuży. Klimat doliny, tak różny od tego, co dotychczas widzieliśmy, wynikał z jej położenia po północnej stronie wyspy i całorocznego, niewysychającego potoku. Czuliśmy się jak w raj.

Sama Hermigua nas rozczarowała. Po pierwsze nie znaleźliśmy tu żadnego zwyczajnego „spożywcza”. Po drugie nie mogliśmy znaleźć przystanku autobusowego. Dopiero miła pani w sklepie z lokalnymi, kosztującymi bająskie sumy przysmakami, radośnie nam oświadczyła, że autobus zatrzymuje się przecież się pod jej sklepem... no tak... Po powrocie zabraliśmy się do przygotowań. Nasiąkliśmy trochę „manianą”, więc zakupy i przygotowania dzieliliśmy z chodzeniem na pobliską plażę celem doskonalenia opalenizny. Każdy taki spacer owocował około 30 litrami wody przyniesionej w plecakach. Obliczyliśmy, że na kolejny etap, przy średnim zużyciu 2,5 litra wody na osobę

dziennie, będziemy potrzebowali około 240 litrów wody. Część wylądowała w kajucie, a reszta w bakistach rufowych. Chodziło o to, żeby dociążyć tył łódki przy spodziewanych wiatrach w plecy. Ceny w tutejszych sklepach były nieco wyższe niż na Gran Canarii, więc kupowaliśmy oszczędniej, tym bardziej, że musieliśmy kupić większy zapas przed spodziewanym dłuższym odcinkiem. Udało mi się też kupić u lokalnego Chińczyka zestaw do łowienia ryb morskich, tak na wszelki wypadek. Dokładnie wyszorowaliśmy łódkę, wyczyściliśmy najgłębsze zakamarki i wymieniliśmy linki sztormrelingów na porządne taśmy. Iwona dokładnie zasztauowała puszkę w zębie i owoce na siatkach. 18 stycznia 2018 r. o godzinie 14.00 oddaliśmy cumy i przy pięknej pogodzie ruszyliśmy na południowy zachód.

c.d.n.

Fotografie: Filip Sułkowski, Iwona Januszewska

Do 1995 roku w Beskidzie Wyspowym oficjalnie znane były tylko trzy jaskinie. W latach 1995 – 1997 za sprawą działalności Klubu Grotolazów Limanowa liczba ta urosła do siedemnastu. Obecnie w bazie danych Jaskiń Polski znajduje się 70 jaskiń z terenu Beskidu Wyspowego, wyłączając jaskinie zniszczone, niedostępne i fantazyjne.

Nowe Jaskinie Beskidu Wyspowego Tajemnice podziemi

Adam Kapturkiewicz

Pod takim tytułem w 1997 r. ukazał się artykuł Bogusława Bubuli na temat ówczesnych wielkich odkryć jaskiniowych. Po przeszło dwudziestu latach od tego sensacyjnego artykułu chciałbym przypomnieć, jak poznawano jaskinie Beskidu Wyspowego.

Pierwsi eksploratorzy

Historia poznania tutejszych jaskiń jest bardzo podobna do poznania Beskidu Wyspowego, który został doceniony stosunkowo późno. Początek ruchu turystycznego w Polsce przypada na pierwszą połowę XIX w. Nie jest więc zaskoczeniem, że pierwsze informacje o jaskiniach zawdzięczamy badaczom i podróżnikom, którzy w swojej drodze ku Tatrom, Pieninom i Babiej Górze przejeżdżali przez teren Beskidu Wyspowego. Owi pionierzy zapewne myśleli o Beskidzie Wyspowym, podobnie jak wspinacz myśli o smutnej konieczności przebycia dolin, by wreszcie móc rozpocząć skalną wspinaczkę. Dla ówczesnych wędrowców cel stanowiły góry większe, o śmiałych formach skalnych i przepaścistych dolinach.

Nie wszyscy notowali informacje o osobliwościach, jakimi są jaskinie. Nawet Stanisław Staszic, uznawany za ojca polskiej geologii, który zdobył Luboń na początku dziewiętnastego wieku, nie wspomina o licznych jaskiniach i pustkach, które występują w strefie osuwisk blisko szczytu. Wycieczki po Karpatach uważano wówczas za niebezpieczne i zamieszkałe przez rabusiów oraz rozbójników. Teodor Tripplin w 1856 roku pisze: „*Nawet akademicy Uniwersytetu Jagiellońskiego rzadko kiedy, albo nawet nigdy nie puszczali się w góry Karpackie*”. Jednakże w dalszej części swoich wspomnień stwierdza on, iż opinia ta jest zupełnie niesłuszna z powodu serdeczności charakteryzującej lud zamieszkujący góry, jak również nie skalany jeszcze zgubnymi wpływami oraz fałszywymi doktrynami.

Zazwyczaj poruszano się głównymi traktami, czyli drogą górską zwaną też cesarską przez Nowy Sącz, Tymbark i Rabkę, drogą wojskową przez Myślenice i Nowy Targ, doliną rzeki Dunajec, drogą Bochnia – Limanowa. Z biegiem lat wdzierano się do wnętrza tych gór w celach naukowych. Dlatego też najstarsze informacje o jaskiniach i innych podziemiach pochodzą z obrzeży Beskidu Wyspowego.

Strzępki wiadomości

Pierwsze i niejasne wzmianki o podziemiach dotyczyły kopalń należących w czternastym wieku do Myślenic. Nie wiadomo jednak, o jakie dokładnie kopalnie chodzi. Mogło to mieć związek z Pasmem Barnasiówki znajdującym się na północnych granicach Beskidu Wyspowego, gdzie według legendy miały być zlokalizowane kopalnie rudy żelaza. Do dzisiaj w tym paśmie pojawiają się nazwy terenowe, takie jak Szachta czy Rudnik. Długosz w swoich kronikach spisanych

w piętnastym wieku podaje, iż w górach Kotoń i Strzebel wydobywano złoto. Natomiast w świetle współczesnej wiedzy geologicznej było to całkowicie niemożliwe.

Jan Długosz wspomina o Piotrze Wydźdze, który miał posiadać kopalnię złota w Beskidzie Sądeckim i Pieninach. Ponadto, wydobywał on złoto w Złotym Potoku w Łącku, oraz na Pustej Łące pod Wysokim. Wstępując do Zakonu Krzyżackiego, całe swoje złoto spławił tratwami do Torunia. Testament Wydźgi oraz dalsze zapiski Długosza odnoszące się do tego krakowskiego rycerza, odbierane były jako wskazówki do poszukiwania złota w górach. Długo jeszcze rozpałały wyobraźnię poszukiwaczy skarbu Wydźgi. Jak silna była wiara w skarby ukryte w górach świadczy chociażby zapis w kronikach dotyczący Jana Otto, właściciela kuźnicy w Nowym Sączu. Sprzedał on dom po Wielkiejnocy roku 1489, prawdopodobnie w celu pokrycia kosztów poszukiwania skarbów w górach. Z Roczników Jazowskich, rękopisów prowadzonych na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku, dowiadujemy się o wydrążeniach w skałach, w których chronili się groźni rozbójnicy. Tutaj mieli ukrywać się sławni zbrojcy, tacy jak Józef Baczyński czy Łazarczyk z Tylmanowy z kompaniami. Opis ten dotyczył z pewnością Pasma Radziejowej w Beskidzie Sądeckim leżącym po drugiej stronie Dunajca.

Jaskinie w literaturze XIX wieku

Pierwszą prawdziwą jaskinią Beskidu Wyspowego, wymienianą w źródłach historycznych, była jaskinia w Łopieniu. Jaskinię tę miał zwiedzać na początku dziewiętnastego wieku czternastoletni chłopiec – Jan Nepomucen Rostworowski. Chłopiec ten uciekał wraz z rodziną z Warszawy do Galicji przed rosyjską inwazją w centralnej Polsce. Tak w roku 1813 trafił do wsi Dobra, majątku należącego do jego wujka, usytuowanego u podnóża góry Łopień, gdzie znajdowała się jaskinia.

Kolejne dziewiętnastowieczne informacje o jaskiniach były jedynie krótkimi wzmiankami. Jaskinie wymieniane w ówczesnej literaturze nazywane były od nazw gór lub od najbliższych miejscowości. O Łyżce pisze Żegota Pauli podczas swojej podróży po Galicji w roku 1831. Miał on widzieć „*miejsca podobne, jako wchody do jaskiń podziemnych*”. Pisał o ukrytych skarbach w jaskiniach obszernych. Natomiast na temat rzekomego zamku poświęcił jedynie pół zdania, co świadczy o tym, że już wówczas był on ludową legendą. O dwóch szczylinowatych jaskiniach na Strzeblu wspomina Ludwik Zejszner, podczas swojej podróży po Karpatach 25 maja 1838 roku. ►

► Jaskinie te owiane były legendami o zaklętych skarbach, których miał strzec kurocz, czyli kogut. Diabiego Kamienia dotyczyły zapiski Józefa Łepkowskiego, który podczas swojej podróży archeologicznej po Galicji w 1849 r. wspominał o wykutym mieszkaniu u podnóża skał. Dwa lata później napisał o ogrodzie pustelnika na skałach. Gotfryd Ossowski podczas poszukiwań jaskiń w drodze do Tatr w roku 1881, zwiedził i opisał jaskinię na Strzeblu, którą nazwał *Jaskinią w Lubniu*. Był to więc pierwszy opis jaskini Beskidu Wyspowego.



Dziura w polu. Fot. Mariusz Bukowiec

Stagnacja początku XX wieku

W pierwszej połowie dwudziestego wieku, za sprawą rozwoju masowej turystyki, w literaturze pojawia się znacznie więcej wzmianek o jaskiniach Beskidu Wyspowego. Niemniej jednak nie ma wielkiego postępu w lokalizacji nowych obiektów. W roku 1914 Kazimierz Sosnowski wydaje pierwszy polski przewodnik turystyczny po Beskidach. Wymienia w nim tylko dwie szczelinowe jaskinie na Strzeblu oraz jaskinię na Łopieniu, którą nazywa zamiennie *Grota Zbójnicka / Grota Zbójcka*. W kolejnych wydaniach swojego przewodnika wspomina króciutko o dwóch grotach na Luboniu Wielkim i o lochach na Jaworzu. W monografii „Beskid Zachodnie” Sosnowski wspomina o rzekomej *Grocie Zbójckiej* na Łopieniu, co świadczyło o postrzeganiu tej jaskini jako niedostępnej, prawdopodobnie na skutek zasypania.

Jaskinia w Strzeblu jest pierwszą jaskinią Beskidu Wyspowego, dla której został sporządzony plan wraz z opisem i zdjęciami. Autorem jest Stanisław Leszczycki, który obserwował pokrywą lodową w jaskini od 1929 roku. Użył on też jako pierwszy w swoich artykułach nazwy Beskid Wyspowy. Leszczycki nadał jaskini nazwę *Grota Lodowa w Strzeblu*, a w opisie informuje, że jaskinia przez lud zwana była *Zimną Dziurą*.

Wśród nowości z tamtych czasów pojawia się informacja o Jaskini na Mogielicy. Miała ona być zasypana na początku dwudziestego wieku, ponieważ wpadały do niej owce. Znana była też *Jama Zbójcka* w Jaworzu, z którą związane były legendy o podziemnych komnatach, w których dawniej chronili się zbóje. Natomiast wówczas uważano, że jaskinię zamieszkiwały diabły i strachy, które czasem przybierały postać niby psa, niby liszki, straszyły i wodziły ludzi po lesie. W miesięczniku Orli Lot napisano o gigantycznym osuwisku, jakie zeszło na Ćwilinie w 1927 roku.

Regres

Po drugiej wojnie światowej, pomimo rozkwitu działalności speleologicznej, stan poznania jaskiń w Beskidzie Wyspowym pozostaje bez zmian przez długi czas. W pierwszym nowoczesnym inwentarzu jaskiń Polski autorstwa Kazimierza Kowalskiego, opublikowanym w latach pięćdziesiątych, tylko trzy jaskinie z tego rejonu zostały opisane wraz z planem. Były to: *Jaskinia w Jaworzu*, *Zimna Dziura w Strzeblu*, *Jaskinia w Luboniu Wielkim*. Nie odnaleziono *Grot Zbójckiej* w Łopieniu, jaskini na Mogielicy, tak samo jak i innych jaskiń wymienianych we wcześniejszych publikacjach. Główna działalność speleologiczna przypadła wówczas na jaskinie tatrzańskie i jurajskie. Beskidy były mniej atrakcyjne jaskiniowo, ponieważ nie są zbudowane ze skał podlegających procesom krasowym, w których zazwyczaj powstają większe jaskinie.

Na początku drugiej połowy dwudziestego wieku jaskinia w Łopieniu była oficjalnie wciąż uważana za niedostępną. Nowinką w tym okresie były legendy o podziemnej pieczarze w Łysej Górze, o rzekomej jaskini na Śnieżnicy oraz jaskiniach na Ćwilinie. Obiekty te jednak były tylko legendami. Natomiast jaskinia na szczycie Śnieżnicy do dzisiaj pozostaje tylko bajkową opowieścią. Co prawda na początku dwudziestego pierwszego wieku próbowano potwierdzić tę informację. Niestety, nie odnaleziono żadnej jaskini czy też śladów, które mogłyby świadczyć o jej istnieniu. Grotołazi, którzy próbowali tego dokonać, zostali otoczeni przez ciekawskie dzieci, uczestniczące w szkolnej wycieczce. Byli oni zasypany serią pytań „*Co panowie robią, po co panowie kopią, czy panowie szukają skarbów*”. Prawdopodobnie legenda o tej jaskini wywodzi się od informacji Kazimierza Sosnowskiego, który na początku dwudziestego wieku pisał, że konfederaci barscy na szczycie Śnieżnicy zbudowali z kamieni rodzaj schroniska.

Punkt zwrotny

Do drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych XX w. tylko trzy niewielkie jaskinie Beskidu Wyspowego znajdowały się w wykazie jaskiń Polski. Prawdziwym przełomem w poznawaniu jaskiń Beskidu Wyspowego była działalność grotołazów z Limanowej: Bogusława Bubuli, Pawła Lesieckiego i Bartłomieja Sułkowskiego, którzy to z kagankiem w ręku nurkowali we wnętrzu globu, by wzbogacić naukę i naród, ducha i ciało. Ich działalność przyniosła znaczącą zmianę w tej dziedzinie. Zwiedzali oni jaskinie Polski, co zaowocowało zainteresowaniem się prawdziwą „terra incognita” - paradoksalnie znajdującą się wokół ich miejsca zamieszkania. Pierwszym odkryciem, wypełniającym jaskiniową białą plamę Beskidu Wyspowego, było *Schronisko w Łysej Górze*.

W czerwcu 1995 roku odnaleźli oni, legendarne wówczas, jaskinie na Łopieniu, znajdujące się w dużym rowie osuwiskowym. Rów ten obfitujący w jaskinie nazwali *Czartorysko*. Wśród tych jaskiń największą była *Jaskinia Czarci Dół*. W tym samym roku napisano krótką notatkę o tych odkryciach, z zamiarem jej publikacji w czasopiśmie turystycznym „Wierchy”. Niestety redakcyjny ekspert od speleologii miał powiedzieć, że „*tego typu jaskiń jest wiele*” i notatka nie jest warta publikacji. Po czym wykorzystał jej treść, publikując notatkę w czasopiśmie „Prządkowiec”. Ten incydent zaowocował bliskim kontaktem pomiędzy Klubem Grotołazów Limanowa i Speleoklubem Dębica.

Niezależnie od odkryć na *Czartorysku* grotołazi z Limanowej lokalizują kolejne jaskinie na Łopieniu, w tym największą w Beskidzie Wyspowym *Jaskinię Zbójcką w Łopieniu*, która

jako jedyna posiadała ślady zwiedzania. Stąd przypuszczano, że jest jaskinią wymienianą we wcześniejszych publikacjach. Jaskinia ta znana była miejscowej ludności, jednak wiadomości te nie były rozpowszechniane. Jeszcze kilka lat temu, pytając się o jaskinie na Łopieniu można było usłyszeć: „*Panie, ja znam Łopień jak własną kieszeń, jeziora to wiem gdzie są, ale jaskini to tam żadnej nie ma*”.

W 1997 roku grotolazi z Limanowej i Dębicy wykonują plany i opisy odkrytych jaskiń. W czasie tych prac Tomasz Mleczek ze Speleoklubu Dębica lokalizuje cztery nowe jaskinie na Luboniu Wielkim, w tym największą *Jaskinię w Luboniu Wielkim II*. Odnajduje on więc jedną z jaskiń wymienianych jeszcze przez Kazimierza Sosnowskiego, lecz nie opisaną do tej pory. Zwieńczeniem tych prac było zamieszczenie planów i opisów jaskiń w drugim i trzecim tomie Inwentarza Jaskiń Polskich Karpat Fliszowych.

Pędząca maszyna eksploracyjna

Aktywność Klubu Grotolazów Limanowa zachęca nowe osoby do odkrywania podziemnego świata. Na przełomie wieków Łukasz Gierat odnajduje dwanaście nowych jaskiń w rejonie Strzebla, Lubonia Wielkiego i Zębolowej. Adam Kapturkiewicz lokalizuje pięć kolejnych jaskiń na Łopieniu i Śnieżnicy. W 2001 roku Członkowie Klubu Grotolazów Limanowa odnajdują wspólnie kilka jaskiń na Cwilinie (w tym największą - *Jaskinię Latających Kamieni*) jak również kilka małych schronisk na Śnieżnicy. W maju 2002 roku podczas spotkania na Śnieżnicy powstał Speleoklub Beskidzki z połączenia Klubu Grotolazów Limanowa i Speleoklubu Dębica.

Kolejną grupą działającą w Beskidzie Wyspowym jest Speleoklub Bielsko-Biała, którego członkowie inwentaryzują *Okap w Diablim Kamieniu* oraz *Jaskinie w Modyni*, w której zachowały się stare napisy i data 1937. Lokalizują też za pomocą georadaru *Jaskinię Modyńską*, znaną w lokalnej tradycji, która jednak nie została odkopana.

Prosperity XXI wieku

Najnowsze odkrycia są efektem wieloletnich obserwacji i zdobywanych informacji przez autora. Wraz z Maciejem Surdzielem odkrywają nowe partie *Jaskini Latających Kamieni*. Podczas dalszych prac wraz z Wojciechem Gubałą jaskinia zostaje kilkukrotnie przedłużona. W podziemnym, ciasnym i niebezpiecznym labiryncie grotolazi odnajdują osobliwy korytarz ozdobiony delikatnymi podziemnymi pnączami stworzonymi z korzeni. Była to pierwsza taka obserwacja w Beskidzie Wyspowym. W styczniu 2009 został zlokalizowany dwudziesty siódmy obiekt jaskiniowy na Łopieniu, z tajemniczymi rytymi znakami nad otworem, które przypominają znaki poszukiwaczy skarbów, znane chociażby z Babiej Góry.

Rok 2011 przynosi kilka odkryć jaskiniowych. Wieloletnia eksploracja Mogielicy doprowadza do odkopania obiektu o nazwie *Wyśnia Studzienka*. Obiekt ten może odpowiadać podaniom z ubiegłego wieku o zasypanej studni na Mogielicy. Wreszcie, we wrześniu tego samego roku, Dariusz Gacek informuje o dużej jaskini na Mogielicy. Informację tę uzyskał od Jarosława Oleksego, leśniczego i maratończyka z Tymbarku. Tak została zlokalizowana *Borsucza Dziura* oraz dwie inne jaskinie na Mogielicy. *Borsucza Dziura* jest dużą, ale miejscami bardzo ciasną jaskinią, w której znajdują się rzadkie

w Beskidach niewielkie nacieki. W środku znaleziono również szkielet jelonka, co świadczy o tym, iż przejście do dalszych partii jaskini musiało być znacznie większe, a obecnie jest ekstremalnym zaciskiem. W październiku Mariusz Bukowiec poinformował o bardzo ciekawej jaskini, znajdującej się w Paśmie Łososińskim, która otrzymała nazwę *Dziura w Polu*. Jest to podziemne pęknięcie ogromnej ławicy piaskowca. Rok później dzięki wskazówkom J. Oleksego odnaleziono *Rysię Dziurę* na Mogielicy. Na Luboniu Wielkim Stanisław Kościelniak wskazuje znaną sobie od lat *Jaskinię Deltu*. Kolejną ciekawostką jaskiniowych odkryć XXI wieku było odnalezienie w podziemiach Beskidu Wyspowego odbarwionego na biało równonoga oraz roztoczy, co wskazuje na istnienie odizolowanego od powierzchni życia.

Goście z „dalekiej” północy

W 2016 roku połączono dwie jaskinie *Wietrzna Studnię* i *Czarci Dół*. Miejsce łączące obie jaskinie zostało nazwane zaciskiem Karola. Owe ciasne przejście, jako pierwszy pokonał Karol Więckowski ze Speleoklubu Warmińsko-Mazurskiego „Speleon”. Tak oto po dziesięciu latach uczciliśmy wspólną akcją Speleoklubu Beskidzkiego i Speleonu z 2006 roku. Wówczas zauważyliśmy nowe partie w Czarcim Dole, część z nich z pewnością pokrywała się z nieudokumentowanymi chodnikami, jakie odnalazł Robert Kusibab i Tomasz Mleczek w roku 2000. Połączenie obu jaskiń było wynikiem reinwentaryzacji obiektów jaskiniowych na Łopieniu dokonanej przez autora. Po nałożeniu na siebie planów obu jaskiń stało się oczywistym, że jest to jeden obiekt. Odwiedziny znajomych ze Spelonu były okazją, by przystąpić do działania.

Wielka kompromitacja

W roku 2016 ukazał się III tom uzupełnień inwentarza Jaskiń polskich Karpat fliszowych, w którym na terenie Beskidu Wyspowego opisano dwie jaskinie zmyślane. W wydawnictwie tym zamieszczono fikcyjne opisy i plany dla wgłębień o długości 0,35 m oraz 0,9 m. Obiekty te zaprzeczają całkowicie definicji jaskini. Jedna z tych apokryficznych jaskiń była wymieniana już w 2001 roku jako obiekt nie spełniający kryteriów jaskini. Natomiast kolejna jest resztką małego wykopu, który powstał podczas próby odnalezienia skarbów św. Kingi, jakie miały być ukryte na Łyżce. Wykop ten wykonali grotolazi z Polski i ze Słowackiego Speleoklubu Šariš, podczas próby odgruzowania miejsca mogącego być zasypaną jaskinią. Niestety okazało się, że nie znaleziono jaskini, i co najsmutniejsze nie było również skarbów św. Kingi.

To jeszcze nie koniec

Eksploracja Beskidu Wyspowego nadal trwa. W ostatnich latach odnaleziono kilka jaskiń jeszcze nie opisanych oraz perspektywiczne osuwiska do celów eksploracji jaskiniowej na Jasieniu, Luboniu, Łopieniu, Modyni, Mogielicy, Ostrej, Śnieżnicy oraz w masywie Jaworza. Miejsca te są powoli badane, czekają one na wykonanie dokumentacji. Najnowsze odkrycie jaskiniowe w Beskidzie Wyspowym miało miejsce 10 marca 2018 roku.

(kolorowa wkładka na stronie 35)

Druciarz był wędrownym rzemieślnikiem zajmującym się druciarstwem, naprawiał sprzęty gospodarstwa domowego i wyrabiał drobne przedmioty domowego użytku z drutu, jak pułapki na myszy, klatki dla ptaków oraz szereg innych drobnych narzędzi niezbędnych w gospodarstwie domowym. Druciarz należy do przedstawicieli ginącego zawodu, a raczej już nieistniejącego w formie „wędrownej”, kiedy jako majster drutował rozbite naczynia lub lutował dziurawe garnki, przenosząc się z miejsca na miejsce, ze wsi do wsi, z miasta do miasta. To stara profesja o korzeniach sięgających XVIII wieku, a jej przedstawiciele rekrutowali się głównie z biednych wsi górskich i podgórskich, gdzie trudno było o pracę. Bieda zatem była tym czynnikiem, który spowodował rozwój druciarstwa początkowo głównie w północno-zachodniej części Słowacji, Spiszu, a następnie rozprzestrzeniło się w Monarchii Austro-Węgierskiej (na Bałkanach), w tym również we wschodniej Galicji, na terenie wschodniej Polski. Druciarze ze Szlachtowskiej Rusi wędrowali ze swym fachem aż na Śląsk, docierali do centralnej Polski, nawet na Sokalszczyznę. Ci biedni górale wędrowali wprawdzie po najbliższej okolicy, służąc swoją pracą mieszkańcom, rzec by można swoim najbliższym sąsiadom. Na terenie Cesarstwa Austro-Węgierskiego druciarze stanowili jedną z najbardziej charakterystycznych grup drobnych rzemieślników. Byli cenionymi rzemieślnikami, a ich umiejętności pozwalały na przedłużenie życia garnków i przedłużały funkcjonalność naczyń codziennego użytku. Druciarze wytworzyli swój folklor, pieśni a nawet taniec.

Po I wojnie światowej zawód ten zaczął powoli zanikać, czego przyczyną było znaczne potaniecie naczyń glinianych, kamionkowych, porcelanowych wyrabianych fabrycznie, których nie opłacało się już naprawiać. Naczynia te zostały stopniowo wyparte przez garnki blaszane i żelazne. W okresie międzywojennym w Polsce rzemieślnicy ci działali nadal, służąc również ludności na wsiach, w miastach i w miasteczkach. Nawet po zakończeniu II wojny światowej druciarze nadal jeszcze istnieli, chociaż ograniczali swoją działalność



Druciarz w ogrodzie państwa Bączkowskich - 1934 rok. Fot. arch. albumu „Okrychy pamięci”

do wytwarzania i domokrażczej sprzedaży drobnych wyrobów blaszanych i drucianych, klatek na ptaki, wieszaków, spinek, foremek do ciast, terek, siatek do młynków.

W swoim życiu spotkałem się dwukrotnie z druciarzami w Limanowej. Pierwszy raz w 1959 roku, kiedy moją uwagę przykuł wędrowiec w podniszczonym i wypłowiałym od słońca i deszczu ubraniu, w mocno znoszonych butach, w sfatygowanym przez wiatr i deszcz

kapeluszu na głowie, idący między domami i głośno wołający: Garnki drutować, rondle lutować, noże ostrzyć. Posiadał przewieszoną przez ramię płaską torbę, zawierającą odzież niezbędną na chłodne dni, płaszcz przeciwdeszczowy, zmianę odzieży i inne niezbędne do wielodniowej wędrowki przybory. Jedzenia nie nosił, bo ludzie najczęściej go żywili. Pamiętam jak dziś, kiedy przyszedł i do nas, wziął dziurawy garnek, usiadł na swoim warsztacie pracy, czyli skrzyneczce

przed domem, zapewne, aby mieć dobry widok na Limanową. Jako młody chłopak przyglądałem się jego pracy, gdy otworzył swój podręczny warsztat, wyciągnął metalowe cynkowe łątki w kształcie elipsy, pocięty kawałek drutu służący za nity oraz stanowiący największą tajemnicę druciarzy wykonywany przez nich klej. Tajemnicę jego wytwarzania posiadali tylko i wyłącznie druciarze i nikomu jej nie zdradzali. Dopasowywał nita do wielkości otworu w garnku, jedną łątkę kładł na zewnątrz drugą wewnątrz metalowego garnka, spajał je nitami, wcześniej uszczelniając klejem obie łątki, następnie młotkiem oklepywał. łątki były tak dobrze spojone, że trzymały niekiedy, aż do śmierci technicznej garnka, a przynajmniej przez dobrych parę lat. Cennik za usługę nie był wygórowany. Za małe naczynie 2, średnie 3 a duże 5 zł.

Przypominam sobie, że w trakcie łątania garnka do gotowania bielizny nucił sobie melodię, której słów już nie pamiętam. Widząc moją chłopięcą ciekawość opowiadał, że wędruje od wiosny do jesieni, ustaloną wcześniej trasą, mówił też, że do zawodu przygotowywał się kilka ładnych lat, wcześniej praktykując u mistrza druciarza i pod jego czujnym okiem. W miejscowości we wschodniej Polsce, z której pochodził, spotykali się na wiosnę druciarze i ustalali trasy, kierunek wędrowek i miejscowości, przez

które mieli przechodzić, świadcząc po drodze usługi druciarskie. W trakcie wędrowki za pracą zatrzymywali się po drodze u ludzi, którzy dawali im poza gościną i jedzeniem również nocleg. W zamian wysłuchiwali ich opowieści ze świata, zaciekawieni snutymi relacjami o przygodach, na jakie napotkali w trakcie wielotygodniowych wędrowek, o zwyczajach, wydarzeniach, ludziach z jakimi się potykali i w ogóle o tym, jak to drzewiej bywało. Dla wielu tych ludzi druciarze byli niekiedy jedynymi łącznikami z przysłowiowym światem.

Po zakończeniu sezonu jesienią, spotykali się ponownie w miejscowości, z której pochodzili, podsumowywali rok i planowali następny. Druciarz mówił też, że już coraz mniej ludzi daje garnki gliniane, czy kamionkowe drutować, głównie łątał blaszane garnki, zaś poza nożami ostrzył również nożyczki. Posiadał specjalne oseeki do ostrzenia noży i nożyczek. Po wykonaniu pracy, schował przybory do skrzyneczki, po czym cały ten warsztat umocowany na dwóch szelkach, umieszczał na plecach. Pożegnał się, dziękując za poczęstunek, za zapłatę za wykonaną pracę, życząc pomysłowości gospodarzom, a następnie ruszył w dalszą wędrowkę. Drugi i ostatni raz widziałem druciarza w Limanowej w rok później w 1960 roku. Druciarze stawali się już niepotrzebni. Przemysł



„Druciarz” - obraz olejny Franciszka Mrażka

produkował sprzęt gospodarstwa domowego, który był powszechnie dostępny z powodu przystępnej ceny, dlatego nie opłacało się już korzystać z usług druciarzy. Ludzie po prostu wyrzucali dziurawe garnki, w ich miejsce kupując nowe. Ten tak ważny w przeszłości zawód dobiegał swojego kresu, zaczął znikać z pejzażu galicyjskich miasteczek i wsi. Dzisiaj niewielu ludzi już pamięta, kim byli, jak wyglądali i jakie świadczyli usługi. Kolejny rzadki zawód z tradycjami odszedł do historii.

Dwór i karczma na Majeżu - Starej Wsi

Z archiwum śp. Jana Wielka

W obecnych czasach wiele mówi się o relacjach, jakie panowały między Polakami a Żydami. Nie zamierzam dołączać do chóru toczącej się polemiki związanej z wydarzeniami, jakie miały miejsce w okresie II wojny światowej.

Natomiast zaprezentuję wspomnienia sprzed kilkadziesiąt lat Józefa Wielka, urodzonego w 1923 roku na Starej Wsi, ojca śp. Jana Wielka byłego wieloletniego dyrektora Muzeum Regionalnego Ziemi Limanowskiej.

W krótkim przekazie jaki pozostawił synowi, Józef Wielki ukazał relacje jakie panowały między ludnością polską a żydowską w małej wsi jaką była Stara Wieś.

Stanisław Ociepka

Majeż to osiedle Starej Wsi, położone przy granicy z Siekierzyną. Pochodzenia tej nazwy trudno się dziś doszukać, jest ona już wymieniona w najdawniejszych

zapiskach dotyczących parafii limanowskiej i zaznaczona w takiej postaci na najstarszych mapach katastralnych i księgach hipotecznych.

Ośrodkiem tego osiedla był dwór, prosperujący dobrze aż do czasów zniszczenia pańszczyzny. Później zubożał i został sprzedany Żydom. Ostatnim właścicielem, którego jeszcze pamiętało kilka niedawno zmarłych ludzi był niejaki Hoppfer, który należące do dworu grunta rozsprzedał pomiędzy chłopów.

Przy parcelacji majątków dworskich uwagę zwrócono na bardzo ważną sprawę - mianowicie do każdej parceli wytyczono drogę. Te trakty komunikacyjne istnieją do dnia dzisiejszego, z tym, że jedna zamieniona została na drogę gromadzką, pozostałe zaś dwie ludzie nazywają

► „ulicami”, gdyż są proste i mają swe wyłoty pod kątem prostym, podobnie jak ulice w miastach.

W miejscu dworu powstały osady chłopskie, początkowo było ich pięć, a obecnie liczba ich zwiększyła się do dziesięciu. Dużo parcel jest w posiadaniu chłopów mieszkających w dalszych osiedlach - Woli czy we wsi Siekierzyna.

Z dawnego budynku dworskiego zachowała się tylko połowa, (budynek ten został rozebrany w 1970 r.), która z powodu zaniedbania jest już niezdatna do użytku i w najbliższym czasie zostanie rozebrana. Był to budynek dosyć obszerny, posiadał dużą kuchnię oraz cztery pokoje. Ściany były zbudowane z kamienia na zaprawie z gliny, od wewnątrz wykładane balami drewnianymi. Pozostała też podworska piwnica. Gdy byłem małym chłopcem, to wprowadził mnie do niej nieżyjący już właściciel parceli, pod którą się ona znajduje - niejaki Franciszek Ćwik. Było to gdzieś około 1925 r. - piwnica była zamulona do mniej więcej 1/3 wysokości. Później, po przebudowie przebiegających koło niej dróg, wejście do niej zostało zapomniane i już mało jest ludzi, którzy wiedzą o jej istnieniu.

Przy dworze były dwa duże stawy, jeden z nich jeszcze istnieje, ale jest bardzo zamulony, a szkoda, bo mógł to być doskonały zbiornik wody dla gospodarstw i przeciwpożarowy, tym bardziej, że okolicę te na nadmiar wody nie mogą narzekać. Drugi staw jest zasypany i jeszcze pamiętam jak go zapełniano ziemią. W tym miejscu jest teraz podmokła łączka, z której nie ma większych korzyści.

W miejscu, gdzie ja mieszkam obecnie stały budynki gospodarcze - stodoły i obora. Wiem to z opowiadania, które słyszałem jako mały chłopak. Potwierdziły to również odkopane resztki fundamentów po tych budowlach.

Koło dworu, w odległości około 300 metrów stała karczma. Wzniesiono ją na granicy Starej Wsi i Siekierzyny, przy drodze z Limanowej do Łukowicy. W czasie parcelacji gruntów dworskich jej właściciel kupił od dworu 5 ha ziemi. Po pierwszej wojnie światowej karczma, miejsce spotkań towarzyskich mieszkańców i kumpli przy kieliszku, upadła, a jej właściciel - Żyd Reipscheid utrzymywał się z prowadzenia gospodarstwa rolnego. Jego syn Jeremiasz posiadał jeszcze koncesję na sprzedaż wyrobów tytoniowych, ale sprzedawał nielegalnie wódkę,

zaopatrując w nią kilku jeszcze żyjących pijaczków starej daty.

Przed 1939 r. powstał na Woli sklep - najpierw prywatny a później spółdzielczy, który był za mocną konkurencją dla biednego szynkarza i ten niezadługo zupełnie zaniechał sprzedaży tak wódki, jak i papierosów.

Pracując zaś na gospodarstwie dał się poznać jako dobry gazda, żyjący z sąsiadami w przykładowej zgodzie. Chętnie też służył w potrzebie, szczególnie pomagając w pracach polowych swym bydłem. Pracował głównie „na odrobek”, sprawiedliwiej jednak licząc cudzą pracę, niż bogaci chłopi!

W okresie międzywojennym w karczmie na Majeżu mieszkała rodzina żydowska, składająca się ze starej babki, syna gospodarza z żoną i dwojgiem dzieci oraz dwóch mężczyzn - braci gospodarza. Mieszkała tu również żona Żyda, który był z zawodu malarzem pokojowym i mieszkał w Bielsku. Jeden z braci gospodarza miał na imię Chaim i z zawodu był krawcem, drugi - Salamon trudnił się nielegalnym handlem bydła, za co był kilkakrotnie karany, a przed rozpoczęciem II wojny światowej umknął do Ameryki.

Rodzina żydowska utrzymywała też służącego, który miał tę wygodę, że pracował 5 dni w tygodniu. W sobotę świętowali bowiem gospodarze, więc on miał dzień wolny. W niedzielę miał on święto, a i gospodarz, by nie obrażać sąsiadów - katolików wstrzymywał się w tym dniu od pracy w polu.

Pamiętam też dzieci, które rosły i bawiły się razem z dziećmi katolickimi, umiały dobrze nasz pacierz oraz dużo katolickich pieśni. Chłopczyk, który miał na imię Śmiałuś słuchał jak jego starszy kolega od sąsiada przygotowywał się do Pierwszej Komunii, nauczył się Katechizmu dużo lepiej od niego.

Okupacja hitlerowska, połączona ze zbrodniczą zagładą Żydów, nie oszczędziła i naszych sąsiadów. W 1942 r. zostali wysiedleni ze swego majątku i przeniesieni do getta w Limanowej. Tam została zamordowana 80-letnia babka oraz jej syn gospodarz, który dostał pomiesznia zmysłów.

Po zakończeniu II wojny światowej, w godzinach wieczornych zapukał do mojego domu dziwny człowiek. Ubrany był w zniszczony mundur wojskowy, szedł wspierając się na szczudłach. Bardzo się zdziwiłem, gdy nazwał mnie moim



Dom rodzinny Wielków na Majeżu

imieniem, prosząc o przenocowanie. W rozmowie z nim rozpoznałem syna wspomnianego malarza z Bielska, który przyszedł w swoje rodzinne strony.

Dziwne były jego losy. W dniach napadu hitlerowców na ziemie polskie matka jego wraz z córką przebywała w opisywanej karczmie na Majeżu, on zaś pozostawał z ojcem w Bielsku. I tak rozeszli się na zawsze. Matka z córką zginęły w obozie, on z ojcem zdołał się przedostać wraz z cofającym się wojskiem polskim na tereny sowieckie. Do czasów napaści Niemiec hitlerowskich na Rosję mieszkali w jednym miasteczku na Ukrainie, później zaś przeniósł się w głąb Rosji. W czasie jednego z pierwszych nalotów zgubił ojca, a sam przedostał się do Iranu. Na wieść o tworzeniu się na terenie Rosji Wojska Polskiego przedostał się nad Okę i wstąpił w jego szeregi. W mundurze polskiego żołnierza przeszedł szlak od Lenino do Berlina. W ostatnich dniach wojny został ranny w obydwie nogi i po podleczeniu ran powrócił w swe rodzinne strony w nadziei, że znajdzie kogoś bliskiego.

Zamieszkał u swego dawnego służącego, którego żona była niegdyś jego niania. Wnet jednak ludzie zaczęli mówić, że to jest komunista i nie ma prawa tu przebywać. Dowiedziawszy się o tym, iż może go spotkać w swych rodzinnych stronach niebezpieczeństwo, wywieźli go do Nowego Sącza, gdzie przebywał przez dwa lata.

Kiedy dowiedział się, że jego ojciec żyje w USA, sprzedał należący do niego grunt na Majeżu i wyjechał do niego.

Karczma została rozebrana, budynki gospodarcze oddał tym, co go po wojnie przyjęli. Po całych zabudowaniach do czasów współczesnych pozostała tylko zaniedbana studnia i niewielki staw, na tzw. „stawisku”.

Józef Wielek, który jest autorem relacji zmarł w 1998 roku - przyp.red.

Droga do wolności



Związek Strzelecki - ćwiczenia w Zakopanem. Na czele kolumny idą: Józef Piłsudski (z lewej) i Kazimierz Sosnkowski (z prawej), kompanię prowadzi Mieczysław Ryś-Trojanowski - 1913 rok

Do kadry Szkoły należało dwóch szeregowych funkcyjnych, kucharz i skarbnik. Nie ustanowiono bowiem stałych podoficerów, bo role tych wykonywali elewi za porządkiem. Również inne funkcje spełniali po kolei i szeregowi.

Z tym podziałem łączyły się zabawne epizody. Obywatel Kaszubski Król (powieszony wbrew postanowieniom prawa międzynarodowego przez moskali w roku 1913 w Pilźnie) jako kucharz miał przydzielonych Obywatela Grzmota Skotnickiego i Józefa Józwe Trojanowskiego do pomocy w kuchni do obierania kartofli – gdy, zaś ci tego uczynić nie chcieli i pójść do skrobania, w dodatku Józwa powyjadał rodzynki przeznaczone do ryżu – podani zostali do raportu, za co otrzymali naganę, a może i stójkę pod karabinem, bo taką otrzymał na pewno śp. Gustaw Daniłowski (Tankred) literat, za to, że guzdrał się przy przypinaniu pasków do tornistra. Stał obywatel Gustaw przed frontem stróżańskiego dworku, ale dumny z tego, że pod polską komendą odbywa karę, bo jak mówi Inspektor Armji Munnich (pseudonim Żegota) w swoich wspomnieniach – „niewiele trzeba było, by się znaleźć krócej lub dłużej na takim posterunku na ganku czy pod gankiem Szkoły”.

Mimo, że panowała tam bezwzględna karność wojskowa – łączyła wszystkich i spajała w jeden aliaz w stosunkach szkolnych niespotykana serdeczność.



Józef Piłsudski maszeruje przed szeregiem członków Związku Strzeleckiego. Widoczny także m.in. szef sztabu Związku Strzeleckiego Kazimierz Sosnkowski (na lewo za J. Piłsudskim) - sierpień 1913 rok

Zbiórka uczestników odbyła się w Krakowie w Związku Strzeleckim, gdzie intendent Strzelca Obyw. Belina Prażmowski ekwipował szkolną stróżańską kompanję.

Z Krakowa jedni z nich maszerowali do Stróży przez Bochnię – inni, Kongresowiaci, przekradłszy się przez kordon rosyjski, jechali z Krakowa koleją do Tymbarku, a stamtąd piechotą do Stróży.

Szkoła podzielona była – jak wspomniano – na 4 plutony, w które wcielono uczestników według klucza terytorjalnego.

Pierwszy pluton pochodził z Kongresówki, drugi stanowił jakby legję cudzoziemską, w skład której wchodziłi ludzie spoza granic etnograficznych Polski ze Szwajcarji, Belgji, Hamburga, Moskwy, itd. – trzeci i czwarty wyćwiczony najlepiej, składający się z gimnazjalistów i akademików zachodniej i wschodniej b. Galicji. (Wspomnienia wyjęte z przepięknych treści listów Wendorffa i Józwy Trojanowskiego).

Chociaż wykłady odbywały się między godz. 7-mą a 12-tą z rana zabierały sporo czasu – akcentowano ćwiczenia praktyczne z walki i służby polowej, wydawanie komend, musztrę, budowę wzniesień, zakładanie min, ćwiczenia nocne.

Jeżeli chodzi o podział całokształtu spraw – to wszyscy korespondenci dzielą szkołę na 3 okresy – Pierwszy okres – to życie garnizonowe; okres ten poświęcony wykładom i praktycznym ćwiczeniom,

drugi okres – to znany marsz ze Stróży przez Mszanę, Nowy Targ (uciążliwy w czasie ulewy przez Obidową) do Zakopanego. To były właśnie te pierwsze Polskie Manewry z ostrem strzelaniem, które tyle zmartwień narobiły starostom i wojskowości austriackiej. Ostatni okres – to końcowy etap działalności szkoły wypełniony ćwiczeniami na wojskowej strzelnicy w Krakowie.

Manewry zarządził Komendant w tym celu, ażeby zademonstrować i unocznnić polskiemu społeczeństwu 3 dzielnic, zjeżdżającemu się na letnie wczasy jakby

► na schadzke do Zakopanego, że realizacja niepodległości Polski opartą być może tylko na czynie zbrojnym. Wymarsz na manewry ze Stróży odbył się w nocy z 12 na 13 sierpnia uroczystie. Do dziś dnia pamiętają Stróżańczycy tę głośną pożegnalną salwę, wystrzeloną po przemowie Komendanta do uczestników. Była to salwa honorowa, pożegnalna na pożegnanie gościnnych stróżańskich pól!

W dniu 17 sierpnia kompanie witał w Zakopanem zakopiański Oddział strzelecki, dowodzony przez porucznika Kostka Aleksandrowicza z Warszawy, który zmarł z ran odniesionych na Wołyniu.

Piękna była postać jasnowłosego Kostka, byłego oficera rosyjskiego, uczestnika wojny rosyjsko-japońskiej, niezrównanego taternika. Zginął ofiarnie, żył skromnie; życie jego znamionował hart, siła woli, bohaterstwo i aż do negacji życia własnego posunięte poświęcenie dla innych.

Według opisu tej Szkoły Insp. Munnicha, najpiękniejszym zdarzeniem tego zakopiańskiego pobytu był urządzony przez Komendanta odczyt w sali hotelu „Morskie Oko” na temat „Kryzysy w boju” – którego treścią było rozwinięcie myśli o znaczeniu siły moralnej w boju. Wywody Komendanta ujęte w podniosłej formie umotywowane były żywymi przykładami z wojny rosyjsko-japońskiej i burskiej.

Wspominaliśmy o tem, że Szkołę Stróżańską uważają w powiecie za narodową legendę, będącą własnością całego narodu. Tak bez zastrzeżeń musi ona należeć do całego narodu, bo brali w niej udział reprezentanci nie tylko wszystkich dzielnic, ale wszystkich stanów, byli tam bowiem i robotnicy w pokaźnej liczbie – byli ludzie wszystkich politycznych odłamów – Siły duchowej dodawał nestor polskiego socjalizmu Bolesław Limanowski, weteran z roku 1863, celowali odwagą i sprawnością wówczas i później na polu chwały i ci elewi, którzy dzisiaj stoją poza obozem Marszałka. Niektórych już nie ma wśród narodu, odeszli od nas ofiarnie i zaszczytnie.

Zginął na polu chwały *śp. Tadeusz Wyrwa Furgalski*, Wołyń 1915, *śp. Leopold Lis Kula*, Wołyń 1919, *śp. Tadeusz Franek Słoń Wiśniowski*, Warszawa przewrót majowy 1926, *śp. Kaszubski – Król* Pilzno 1915, *śp. Franciszek Gibalski – Klin*, *śp. Kazimierz Jurczyński Kruk*, 1916, *śp. Kordjan Monasterski* – zmarł również *śp. Gustaw Daniłowski Tankred* – Przykrywa już tych bohaterów wieko trumny.

Niewątpliwie Szkoła Stróżańska jest legendą, bo z niej powstało coś niezwykłego, bo z tej garstki ludzi źle uzbrojonych, w sztuce wojennej nie wyćwiczonych, ale wyuczonych wojskowo w tym staropolskim dworku powstała opancerzona polska pięść rycerska – radość oczu naszych i dumę serc naszych stanowiąca – polska – narodowa dzisiejsza potężna armia. Pomnikiem zaś tej legendarnej Szkoły niech będzie nie tylko odnowiony przez powiat piękny staropolski dworek, który w roku 1913 służył za zorganizowane koszary – ale pomnikiem tym niech będzie pamięć zachowana przez cały polski naród, gdyż ten pomnik jest najtrwalszy, pomnik ten niematerjalny zawsze i wszędzie trwa, bo on w ziemię się nie rozsuje, bo to pomnik granitowy duszy polskiego Narodu.

Komitet Obywatelski imieniem ludności powiatu limanowskiego przyrzeka opisany dworek stróżański jako Pierwsze Wojskowe Polskie Koszary wziąć w swoją pieczę i szczególną opiekę – jak również ufundować pamiątkową tablicę.

Jeszcze jedno końcowe słowo. Uderza każdego przypinanie przy nazwiskach uczestników pseudonimów. Pseudonimami

nawoływano się w szkole i później, bo pseudonimem kryto osobę i konspiracyjną pracę wobec wszystkich zaborczych władz, najwięcej zaś chciano uniknąć penetrującej policyjnej kontroli władz rosyjskich. Pseudonimy wydobyto przy pomocy kap. Balickiego (pseudonim Wyrwidąb) z Biura historycznego – gdzie schowana jest jedna pisana pamiątka Szkoły Stróżańskiej w postaci książki kasowej.

Według tej książki uczestników z pseudonimami – było stu – wojskowe biuro historyczne zamieściło w wykazie jeszcze 4 osoby, które widocznie przekazały na fundusz szkoły pewne kwoty. Kpt. inż. Balicki jest jednak zdania, że spis ten nie jest dokładny.



Obóz wojskowy strzelców pod Limanową – IKC z 31 sierpnia 1913 r., nr 201

Sympatyczna i pełna tężyzny organizacja „Strzelca” nie spoczywa na laurach lecz w krwawym znoju nabiera sił i wprawę do spełnienia kiedyś obowiązku względem Ojczyzny.

W przepysznej, pełnej czaru niezrównanego i piękności okolicy Limanowej z górą już od miesiąca rozbiła organizacja strzelecka swój obóz wojenny, w którym 150 dziarskich strzelców odbywa kurs instruktorski, pędząc życie w prowizorycznych szopach i namiotach polowych. Wśród biorących udział w kursie strzelców reprezentowane są wszystkie klasy społeczne, poczynając od młodzieńców ze sfer arystokratycznych a kończąc na robotniku.

Ten wspólny trud i mozół wyrabia w nich koleżeństwo i węzły serdecznego braterstwa, zaciera bez śladu różnice towarzyskie i jednoczy wszystkich nierozdzielnie do spełnienia kiedyś wielkich i świętych dla nas wszystkich celów. Przebywając w obozie strzelcy prowadzą życie ściśle unormowane: O godzinie 5 rano budzi ich pobudka, po czym po śniadaniu, składającym się z herbaty lub kawy z mlekiem oraz chleba razowego, odbywają ćwiczenia wolne, trwające około 2 godziny. Po krótkiej przerwie następują wykłady teoretyczne, a po ich ukończeniu ćwiczenia praktyczne.

W południe odbywa się obiad polowy, gotowany przez strzelców na zmiany, pod nadzorem jednego fachowego kucharza – amatora. Najczęściej składa się menu z rosółu, sztuki mięsa i jarzyny, przygotowanie innych bowiem potraw natrafia w okolicy na nieprzezwyciężone trudności.

Popołudnie wypełniają, oprócz normalnych wykładów i ćwiczeń, większe taktyczne zadania terenowe, a więc nauka budowy polowych fortyfikacji, sygnalizacja itd. Nadto bez zarzutu funkcjonują 4 stacje telefonu polowego. O godzinie 7-mej wieczorem odbywa się kolacja, capstrzyk wzywa wszystkich do spoczynku w obozie, znajdującym się pod opieką co 24 godzin zmienianej warty.

Wszyscy strzelcy, biorący udział w ćwiczeniach, występują w pełnym uzbrojeniu, a więc z karabinem, tornistrem (cielakiem) ładownicami, przyborami technicznymi itd.

Przed tygodniem w okolicy Nowego Targu odbyli „Strzelcy” strzelanie ostrymi nabojami, a następnie ćwiczenia, które dały dowód ich sprawności bojowej i wytrzymałości.

Po ukończeniu ćwiczeń „Strzelcy” w marszu bojowym udali się do Zakopanego, gdzie zabawili dwa dni, budząc nieopisany entuzjazm zarówno wśród ludności miejscowej, jak i gości zza kordonu. Niemniej gorąco witali niespodziewanych gości górale, na każdym kroku czyniąc im ulgi i liczne ułatwienia. Przy tej sposobności podnieść należy ofiarność burmistrza Nowego Targu p. A Rayskiego, który wszystkim „Strzelcom” oddał bezpłatnie do dyspozycji wygodne kwatery i innych udogodnień nie szczędził.

Na cześć gości odbyła się w Zakopanem w hotelu „Morskie Oko” wieczornica, która zgromadziła na sali obok wyniszczonych trudem i znojem mundurów „Strzelców” okazałe i wytworne toalety dam ze wszystkich sfer, nie wyłączając

arystokracji. Ochocha zabawa przeciągnęła się do białego rana, zostawiając w sercach uczestników niezatarte nigdy wspomnienia.

Oby tylko ogół społeczeństwa polskiego z tą samą jak dotąd życzliwością odnosił się do dzielnej drużyny, co w trudzie i znoju walczy o lepsze dla Ojczyzny jutro! Prócz moralnej także i wydatna pomoc materialna ze strony narodu, jest nader pożądana.

Na zakończenie dodajmy, że letni obóz „Strzelców” pod Limanową zwiedzili w dniach ostatnich między innymi także prezes PSL Jan Stapiński i poseł do parlamentu austriackiego Włodzimierz Tetmajer (polski malarz i grafik jeden z czołowych przedstawicieli Młodej Polski – przyp. red.).

Fotografie: archiwum NAC

Tadeusz Szymon Ptak – „Dr Olszyna”

Przemysław Bukowiec

W poprzednim numerze „Echa” była mowa o leśnej służbie zdrowia w czasie niemieckiej okupacji. W ramach kontynuacji tego jakże obszernego wątku pragnę przytoczyć historię Tadeusza Szymona Ptaka, lekarza, żołnierza, patrioty, który swoje krótkie, ale bogate w działalność społeczną życie, poświęcił dla dobra mieszkańców Ziemi Limanowskiej.



Żołnierze Obwodu AK Limanowa. Czwarty od prawej, komendant kpt. Julian Krzewicki „Filip”. Piąty od lewej Tadeusz Ptak „Olszyna”. Zima 1944r. Fot. ze zbiorów J. Krzewickiego



Tadeusz Szymon Ptak, fot. ze zbiorów J. Jaworz-Dutki

Z Kresów do Limanowej

Tadeusz Szymon przyszedł na świat 28 października 1913 roku w Bursztynie koło Rohatyna. W monarchii Austro-Węgierskiej ojciec Jan pracował na posadzie nadkomisarza Urzędu Finansowego w Rohatynie. Po zakończeniu Wielkiej Wojny rodzina Ptaków osiadła w Limanowej, gdzie Jan objął stanowisko dyrektora Kasy Chorych. Wychowanie oraz egzekwowanie obowiązku szkolnego synów: Tadeusza Szymona i Jana Romualda, przypadł matce, Kazimierze z domu Kulczyńskich. Będąc nauczycielką, szczególnie kształtowała ▶

► zamiłowanie do nauki u synów. Starszy brat Tadeusza, Jan, po ukończeniu Szkoły Powszechnej w Limanowej, kontynuował edukację w I Gimnazjum Klasycznym im. Jana Długosza w Nowym Sączu, gdzie złożył egzamin dojrzałości w 1928 roku. Studiował prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Po ukończeniu edukacji pracował w administracji państwowej na Kresach. Podobnie młodszy o trzy lata Tadeusz swoją ścieżkę edukacyjną związał z Limanową i Nowym Sączem. W 1932 roku zdał maturę. W nowym roku akademickim rozpoczął studia medyczne na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego. Studia ukończył w 1938 roku. Po uzyskaniu absolutorium został skierowany do odbycia służby wojskowej w Centrum Wyszczolenia Sanitarnego w Warszawie.



W szeregach Oddziału Partyzanckiego AK „Wilk”. Drugi od prawej Tadeusz Ptak „Olszyna”. Fot. ze zbiorów Muzeum Armii Krajowej w Krakowie

Wrzesień 1939 i pierwsze lata niemieckiej okupacji

W 1939 roku wobec agresji III Rzeszy na Polskę, zmobilizowany do służby sanitarnej, został wzięty do niewoli przez Niemców w rejonie Baranowicz. W czasie transportu do Modlina, Tadeusz z kilkoma kolegami zdołał zbiec, przedostając się do Limanowej. Tragiczny los wojennej zawieruchy nie oszczędził starszego brata Tadeusza, Jana. W drugiej połowie września został aresztowany przez Sowietów i osadzony w Krzemieńcu, skąd wywożono do obozu w Kozielsku. Na wiosnę 1940 roku wraz z polskimi oficerami i przedstawicielami inteligencji, Jan został zamordowany w Katyniu. Po latach wśród zidentyfikowanych ofiar sowieckiej zbrodni udało się ustalić tożsamość Jana Romualda Ptaka. Wśród znalezionych osobistych rzeczy zachowały się: legitymacja oficera rezerwy, plakietka Matki Boskiej i medalik z łańcuszkiem.

Tymczasem na początku 1940 roku Tadeusz ukrywał się w Limanowej. Miejsce stałego pobytu nie było bezpieczne, łatwo było o dekonspirację. Ze względu na nasiloną działalność nowosądeckiego gestapo, Tadeusz przeniósł się w rejon Wysokiego, gdzie prowadził „domową” praktykę lekarską. Za swoją pracę nie pobierał wynagrodzeń, a ludzie, jeżeli tylko mogli, udzielali mu wikt i opierunku. Wkrótce zrobiło się głośno o lekarzu z Wysokiego, który po chałupach leczy i udziela porad miejscowym gazdom. W tym czasie na obszarze Ziemi Limanowskiej rozbudowywano struktury Związku Walki Zbrojnej, a że zapotrzebowanie na służby sanitarne było ogromne, w ten sposób Tadeusz został zaprzysiężony, nadal prowadząc nielegalną praktykę, tym razem w ramach ZWZ. Wkrótce jednak, bo na wiosnę 1941 roku, doszło do dużej wyspy w strukturach limanowskiej ZWZ. Krąg aresztowanych przez gestapo stale się powiększał. Tadeusz, będąc szczególnie zagrożony za swoją działalność i przynależność do organizacji, został skierowany na pogranicze Beskidu Wyspowego i Gorców do Kamienicy.

Praca w „SATURNIE”

W dolinie rzeki Kamienicy lekarz znalazł chwilowy spokój. Kamienica była siedzibą Nadleśnictwa zarządzanego przez Niemców, którzy eksploatowali okoliczne lasy między Mogielicą i Gorcem na potrzeby przemysłu wojennego. Na tym samym obszarze funkcjonowało Towarzystwo Górnicze „SATURN”, gospodarujące kilkoma okolicznymi tartakami. Tadeusz objął posadę lekarza w wyżej wymienionym zakładzie. Oprócz tego prowadził praktykę lekarską wśród okolicznej ludności

zamieszkującej m.in.: Kamienicę, Zbludzę, Zalesie, Zasadne i Szczawę. Niezbędnej pomocy w organizacji pracy lekarskiej udzielał administrator wspomnianego majątku Aleksander Głazek z żoną Matyldą. Kamienicki dwór i zabudowania gospodarcze stanowiły siedzibę „SATURNA”, z drugiej strony były miejscem kontaktowym i przerzutu dla ukrywających się polskich żołnierzy, osób „spalonych” i wysiedlonych przez władze niemieckie z Górnego Śląska. Tadeusz po przybyciu do Kamienicy przyjął pseudonim „Olszyna”, chociaż w konspiracji często mówiono i przyjęło się od sprawowanej profesji: „dr Olszyna”. Niestety wśród pracowników „SATURNA”, szczególnie spośród tych, którzy przybyli ze Śląska, znaleźli się tacy, którzy wysłużyli się okupantowi. Wkrótce, latem 1942 roku w wyniku denuncjacji i niemieckiej oblawy w Kamienicy, „dr Olszyna” został zmuszony ukrywać się w przysiółkach Szczawy: na Wyrębiskach Szczawskich i Bukowie. W 1943 roku po nawiązaniu kontaktu z kierownictwem Komendy Obwodu Armii Krajowej w Limanowej, „dr Olszyna” przystąpił do tworzenia zrębów konspiracyjnej służby sanitarnej dla powstających oddziałów partyzanckich. Szczególnie owocne korzyści przynosiły spotkania i konsultacje z dr. Mieczysławem Myconiem „Czarnym Mietkiem” z Dobrej.

W Oddziale Partyzanckim AK „Wilk” i w szeregach podhalańskiego pułku

W połowie lipca 1943 roku w Gorcach na polanie Stawieniec pod Kudłoniem swoją bazę wypadową posiadał nowo utworzony oddział partyzancki Kedywu (Kierownictwo Dywersji) Armii Krajowej dowodzony przez por. Władysława Szczypkę „Lecha” z Mszany Górnej. W leśnym wojsku niezbędny był lekarz, dlatego bardzo szybko w jego strukturach odnalazł się „dr Olszyna”, biorąc udział w akcjach partyzanckich m.in. na: posterunek niemieckiej Straży Granicznej (Grenschutz) w Harklowej oraz jesienią w podobnej akcji w Wierchomli. Wcześniej jednak, bo 28 września, miał miejsce pewien przykry incydent. Żołnierze oddziału „Lecha” stacjonując na polanie Stawieniec pod Kudłoniem, w pobliżu zabudowań gospodarstwa wzorowego prowadzili szkolenie z obsługi zdobywczej broni. Tego samego dnia do oddziału trafił ppor. Jan Adamczyk „Gryf”, który do połowy 1943 roku trudnił się pracą gajowego w rejonie Kamienicy i Szczawy. „Spalony”, zmuszony do ucieczki w las, trafił do chłopców „Lecha”. W trakcie przestrzeliwania broni przez „Gryfa” nastąpił niewypał, a broń odruchowo w stronę dowódcy oddziału z opóźnieniem



Na Wyřebiskach Zalesiańskich latem 1944r. Od lewej: por. Jan Stachura „Adam”, por. Krystyn Więckowski „Zawisza”, Tadeusz Ptak „Olszyna”, por. Jan Cieślak „Maciej”. Fot. ze zbiorów J. Krzewickiego

wystrzeliła zabijając go na miejscu. Stwierdzono zgon, choć posłano po lekarza. Tak po latach to opisał jeden z żołnierzy oddziału Józef Węglarz „Mały”: [...] „Adam” [ppor. Jan Stachura – przyp. P.B.] *natychmiast wysłał gońca do lekarza zgrupowania, dr. Tadeusza Ptaka ps. „Olszyna”, z wezwaniem natychmiastowego stawienia się w obozie. Dr Tadeusz Ptak po przybyciu oficjalnie potwierdził śmierć [...].* Tragiczny wypadek znacząco wpłynął na przygnębienie w oddziale.

Po śmierci „Lecha”, dowództwo objął ppor. Jan Stachura „Adam”. W listopadzie 1943 roku, „dr Olszyna” brał udział w ramach oddziału w akcji w Rytrze przy rozbrajaniu Straży Przemysłowej (Werkschutz). Liczna zmiana lokalizacji postaju OP AK „Wilk” (taki kryptonim otrzymał oddział „Lecha” na początku listopada 1943 roku), ciężkie warunki kwaterunkowe doprowadziły do znacznego uszczerbku na zdrowiu „dr. Olszyny”. Pod koniec 1943 roku wskutek pogorszenia stanu zdrowia, Tadeusz Ptak został urlopowany w celu podleczenia nadwątlonego zdrowia. Na wiosnę 1944 roku „dr Olszyna” stacjonował wraz z OP AK „Wilk” na osiedlu Groń pod Mogielicą, prowadząc szkolenie sanitarne w leśniczówce

Jana Lisowskiego. W połowie 1944 roku przeniósł się na swoje „stare” kwatery w rejon Wyřebisk Szczawskich i Bukowa, gdzie m.in. w domu Jana Magdziarczyka organizował izbę sanitarną. Udzielał pierwszej pomocy żołnierzom OP AK „Wilk”, będąc częstym gościem w obozie partyzanckim na Mogielicy.

W tym samym czasie można powiedzieć, że „dr Olszyna” stał się lekarzem wędrownym podhalańskiego pułku i Inspektoratu AK Nowy Sącz „Niwa”, wizytując szpitaliki partyzanckie rozlokowane w rejonie góry Modyń (Kicznia), w okolicach Tymbarku na górze Żezów, we dworze w Słopnicach oraz w Wilczycach. To właśnie z tej ostatniej izby chorych, lekarza dobrze zapamiętał ówczesny ppor. Julian Dutka „Jaworz”, który w szpitaliku przechodził leczenie zapalenia płuc po nieudanej koncentracji żołnierzy AK i BCH w rejonie masywu góry Ćwilin w warunkach zimowych w celu odbioru zrzućców alianckich.

W drugiej połowie 1944 roku, po utworzeniu 1. Pułku Strzelców Podhalańskich Armii Krajowej pod dowództwem mjr. Adama Stabrawy „Borowego”, „dr Olszyna” otrzymał przydział do I batalionu 1 PSP AK. Ze względu na stale pogarszający się stan zdrowia nie mógł już uczestniczyć w akcjach bojowych. Kontynuował wraz z dr Stanisławą Paszkowską-Brandt „dr Julitą” i dr Marianem Mosslerem „Leliwą” stałe kursy szkolenia sanitariuszy dla I i II batalionu 1 PSP AK. Działalność konspiracyjną zakończył 19 stycznia 1945 roku, wraz z rozkazem mjr. Adama Stabrawy „Borowego” o czasowym urlopowaniu żołnierzy 1. PSP AK. W tym samym czasie na Ziemi Limanowskiej zakończyły się działania wojenne.

Krótko dane było cieszyć się wolnością...

Z końcem stycznia Tadeusz Ptak wrócił do Limanowej, skąd wkrótce wyjechał do Krakowa, gdzie podjął pracę na oddziale zakaźnym Kliniki Uniwersytetu Jagiellońskiego. W tym samym czasie wstąpił w związek małżeński z Janiną Głazek, córką administratora majątku w Kamienicy, ówczesną studentką Instytutu Sztuk Plastycznych.

W 1946 roku Tadeusz Ptak przeniósł się do pracy w Szpitalu Miejskim w Bielsku, obejmując oddział zakaźny. Ze względu na stale pogarszający się stan zdrowia był zmuszony poddać się dłuższej kuracji leczniczej w Krakowie. Tam też podjął pracę w Klinice Chorób Wewnętrznych Szpitala Uniwersyteckiego. Pomimo troskliwej opieki lekarskiej, po kilku kuracjach, „dr Olszyna” zmarł 2 września 1947 roku. Został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Jak pisał o nim po latach w biogramie ppłk Julian Jaworz-Dutka: [...] *poświęcił swoje krótkie, a tak bogate w dokonania życie dla umiłowanej Ziemi Limanowskiej i bohaterskiego ludu górskiego [...].*

Za udział w wojnie obronnej we wrześniu 1939 roku Tadeusz Ptak został odznaczony Krzyżem Walecznych. Za działalność konspiracyjną, służbę wojskową w ZWZ-AK i walkę z niemieckim okupantem został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Artykuł powstał na podstawie prywatnych zbiorów autora oraz biogramu: *Dr Olszyna – lekarz oddziałów partyzanckich* [w:] *Almanach Ziemi Limanowskiej* nr 7, zima 2001-2002, s. 44, 46-47, autorstwa ppłk. Juliana Jaworz-Dutki i materiałów z jego prywatnych zbiorów; wykorzystano również artykuł: *Lekarz medycyny Tadeusz Szymon Ptak* [w:] „Przegląd Lekarski”, t. XXXIX, nr 1-3, Kraków 1982. Fragmenty wspomnień Józefa Węglarza „Małego” pochodzą z publikacji Michała Maciaszka, *Od „Orla” do „Zawiszy” Gorze 1943*. Nowy Targ 2010, s. 72.

IV Spacer Historyczny po Limanowej

Karol Wojtas

W sobotę 17 marca 2018 roku odbył się „IV Spacer Historyczny po Limanowej” pod tytułem: „Co pozostało z poprzednich kościołów parafialnych w limanowskiej bazylice”? Mimo mrozu i niesprzyjającej pogody do limanowskiego kościoła na kolejny spacer przybyły jak zawsze zainteresowane osoby, które chciały zapoznać się z przeszłością naszego miasta i dziejami jego świątyń parafialnych. Uczestników spaceru oprowadził i opowiedział o tym, co pozostało z poprzednich kościołów w dzisiejszej bazylice historyk, Karol Wojtas. W ponad trzydziestoosobowej grupie osób biorących udział w spacerze można było zobaczyć zarówno stałych bywalców tego wydarzenia, jak i osoby, które przyszły na nie po raz pierwszy. Uczestnicy poznali historię początków parafii limanowskiej oraz dowiedzieli się, jak wyglądały pierwszy i drugi kościół parafialny. Spacer ten odbył się dzięki kustoszowi Bazyliki Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej ks. prałatowi Wiesławowi Piotrowskiemu, któremu organizatorzy wyrażają podziękowania za możliwość odbycia się go we wnętrzu kościoła.



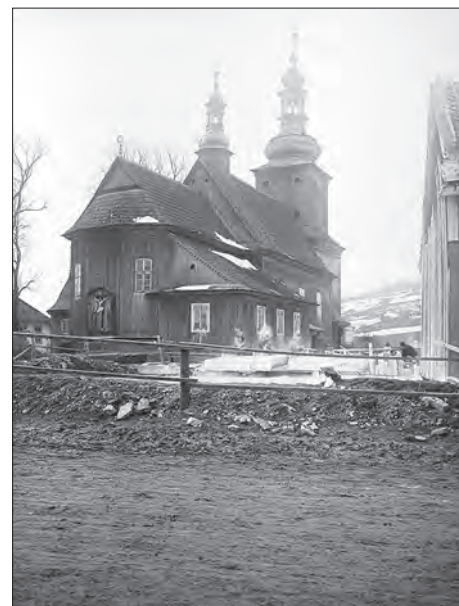
Karol Wojtas pokazuje uczestnikom spaceru figurę Matki Boskiej wykonaną przez Franciszka Wyspiańskiego w Krakowie

Powstanie parafii limanowskiej jak i jej historia w pierwszych kilkudziesięciu latach od powstania, ze względu na skąpość źródeł opierająca się na pewnych hipotezach, została opisana w kilku poważnych monografiach, więc nie jest to miejsce na jej szczegółowe przedstawienie czytelnikom „Echa Limanowskiego”. Zainteresowanych tym tematem odsyłam do monografii limanowskiego kościoła autorstwa Józefa Szymona Wrońskiego oraz do pierwszego tomu monografii

Limanowej pod redakcją prof. Feliksa Kiryka, ale też do „Inwentarza zabytków powiatu limanowskiego Stanisława Tomkowicza” opracowanego i wydane go kilka lat temu przez Piotra i Tadeusza Łopatkiewiczów. W artykule tym przybliżone zostanie czytelnikom pokrótce jak wyglądały pierwszy i drugi kościół limanowski oraz jakie elementy z ich wyposażenia można dziś zobaczyć w obecnym trzecim kościele oraz w innych miejscach na terenie Małopolski.



Obraz malarza Czesława Lenczowskiego „Pożar kościoła limanowskiego w 1769 roku”



Drugi kościół limanowski - zdjęcie wykonane w 1910 roku

Pierwszy kościół limanowski

Wśród historyków nie ma jednoznaczności, zarówno do początków parafii limanowskiej jak i co do początków kościoła parafialnego. Różni badacze przeszłości Limanowej stawiali sprzeczne ze sobą tezy. Pewne jest to, że w miejscu



Późnogotycka chrzcielnica z 1527 roku, stan przed konserwacją i po konserwacji

obecnego trzeciego kościoła w I połowie XVI wieku został zbudowany drewniany kościół parafialny. Świątynia ta została konsekrowana 460 lat temu **10 października 1558 roku** przez sufragana krakowskiego biskupa Andrzeja z Pilzna w asyście opatów cysterskich z Mogiły i Wąchocka. Podczas konsekracji kościół ten został dedykowany: „ku czci Boga Wszechmogącego, Najświętszej Maryi Panny, Świętego Walentego, Świętego Mikołaja, Świętej Zofii oraz Jedenastu Tysięcy Dziewic”. W ołtarzu głównym umieszczono relikwie Św. Walentego i Św. Wawrzyńca. Akta wizytacji biskupich parafii limanowskiej podają przeważnie, jako główne patrocinium świątyni wezwanie Św. Walentego. Pierwsza wizytacja parafii limanowskiej odbyła się w 1596 roku, gdy biskupem krakowskim był kardynał Jerzy Radziwiłł. Z akt tej wizytacji wynika, że patronem kościoła był Św. Walenty. Podczas kolejnej wizytacji w 1608 roku, jako patroni kościoła podani są Św. Mikołaj i Św. Walenty. W kolejnych aktach wizytacji występuje już tylko Św. Walenty.

Pierwsza świątynia była zbudowana z drewna w stylu gotyckim w konstrukcji zrębowej. Pierwotnie była jednonawowa z trójbocznie zamkniętym prezbiterium bez wieży. Kościół ten był orientowany. Na początku XVII wieku został on rozbudowany. Dobudowano do korpusu dwie kaplice boczne i wieżę. W późniejszych aktach wizytacji można przeczytać między innymi, że: „Kościół

ten wzniesiony był na planie krzyża, posiadał nawę i dwie kaplice boczne oraz wieżę, dach był kryty gontem. Na dachu znajdowała się sygnaturka zakończona cynową kulą i metalowym krzyżem. W wieży znajdowały się najpierw dwa a później trzy dzwony.”

O wnętrzu tej świątyni w XVII i XVIII wieku wiemy, że najpierw znajdowały się w niej trzy ołtarze (główny w prezbiterium oraz dwa boczne) a później cztery. W XVII wieku w ołtarzu głównym znajdował się wizerunek Matki Boskiej Różańcowej, w bocznych ołtarzach były wizerunki Św. Mikołaja (po prawej

stronie) i Św. Walentego (po lewej stronie). W XVIII wieku w ołtarzu głównym znajdował się otaczany szczególnym kultem obraz Świętego Walentego, w ołtarzach bocznych były przedstawienia Św. Mikołaja i Św. Jana Kantego, a obraz Matki Boskiej Różańcowej znajdował się w ołtarzu w kaplicy bocznej. Wiadomo także, że w latach 30. XVII wieku w limanowskim kościele pojawiły się organy na chórze muzycznym. Kres tej świątyni stanowi wielki pożar Limanowej z **14 marca 1769 roku**, wtedy to świątynia doszczętnie spłonęła. Z jej wyposażenia uratowano tylko Pietę Limanowską i gotycką chrzcielnicę. Są one dziś najstarszymi zabytkami zachowanymi w naszym mieście. Oprócz kościoła spłonęło także jego wyposażenie oraz szaty i naczynia liturgiczne. Tego dnia ogień zniszczył doszczętnie prawie całe miasto. Zabudowa Limanowej w tym okresie jak większości małych miast w tej części kraju była w całości drewniana. Ze źródeł historycznych wiemy, że pożar zaczął się w browarze limanowskim prowadzonym przez miejscowych Żydów i szybko przeniósł się na kolejne budynki, po krótkim czasie obejmując całe miasto. Ciekawostką jest fakt, że w limanowskim muzeum parafialnym znajduje się obraz malarza Czesława Lenczowskiego „Pożar kościoła w Limanowej w 1769 roku”. Jest to obraz namalowany w latach 60. XX wieku i artysta namalował sylwetę płonącego kościoła, która wzorowana była już na drugim kościele limanowskim. ▶



Późnobarokowa figura Św. Jana Apostoła z drugiego kościoła limanowskiego



Późnobarokowa figura Matki Boskiej z drugiego kościoła limanowskiego

► Drugi kościół limanowski

Po pożarze miasta ówczesny proboszcz limanowski ks. Szczepan Długoszowski podjął starania o możliwość postawienia na pogorzelsku tymczasowej kaplicy. Pozwolenie takie uzyskał już w kwietniu 1769 roku. Czynił też starania o nowe paramenty i księgi liturgiczne. Niestety nie doszło do szybkiej odbudowy kościoła, czy też w ogóle budowy tymczasowej kaplicy, ponieważ ks. Długoszowski przystąpił do konfederacji barskiej i opuścił Limanową. Przed opuszczeniem miasta pieczę nad parafią przekazał ks. Janowi Zwiernikiewiczowi proboszczowi ze Słopnic. Ten też nie czynił starań o szybką odbudowę świątyni. Niedługo potem w 1772 roku Limanowa w wyniku pierwszego rozbioru znalazła się w Monarchii Habsburskiej, a do miasta wkroczyły wojska austriackie. Dopiero nowo mianowany proboszcz limanowski ks. Szczepan Duszyński w 1774 roku podjął decyzję o przeniesieniu drewnianej kaplicy dworskiej z Mordarki. W 1777 roku ks. Szczepan Duszyński rozpoczął budowę nowego kościoła parafialnego. Budowa świątyni i jej wyposażenie trwało przez kolejne lata. Niestety nie były to dobre czasy dla Limanowej. Po śmierci ks. Szczepana Duszyńskiego w 1803 roku, jego następcą został jego bratanek ks. Jan Duszyński. Dokończył on wyposażanie kościoła. **12 maja 1825 roku** biskup tyniecki Grzegorz Tomasz Ziegler konsekrował drugą limanowską świątynię, która nosiła już wezwanie Matki Boskiej Bolesnej. Do tej świątyni w latach 30. XIX wieku ks. Jan Duszyński dobudował kaplicę z ołtarzem Świętego Walentego. Kolejny proboszcz limanowski, ks. Jan Warpęcha sprawił kolejne elementy wyposażenia kościoła i odremontował sam budynek. W ciągu XIX wieku kościół ten okazał się być za mały na rozrastającą się parafię, a i stan techniczny budowli był fatalny. Już w latach 60. XIX wieku biskup tarnowski widział potrzebę budowy nowego kościoła w Limanowej. Jednak budowy nowej murowanej świątyni podjął się dopiero ks. Kazimierz Łazarski.

Drugi kościół limanowski w przeciwieństwie do pierwszego posiada dość dobrą ikonografię. Zachowały się liczne fotografie i obrazy oraz rysunki przedstawiające jego wygląd zewnętrzny. Wnętrze ma już skromniejszą ikonografię, ale między innymi dzięki rysunkom i szkicom, jakie wykonał architekt Zdzisław



Uczestnicy spaceru przed bocznym ołtarzem Matki Boskiej Różańcowej, w którym znajduje się także obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej



Uczestnicy spaceru w kaplicy relikwii Świętych i Błogosławionych noszącej dawniej wezwanie kaplicy świętokrzyskiej, w której zakończono zwiedzanie

Mączyński, wiemy jak ono dokładnie wyglądało (Szkice noszą datę: marzec 1911 r.). Świątynia ta była jednonawowa z trójbocznie zamkniętym prostokątnym prezbiterium i była orientowana. Do prezbiterium przylegały od północy zakrystia, a od południa kaplica Matki Boskiej Bolesnej. Kościół od zachodu posiadał monumentalną wieżę zwieńczoną baniastym hełmem z ośmioboczną latarnią. Na dachu nad nawą znajdowała się sygnaturka nakryta barokowym

hełmem. Dachy kościoła kryte były gontem, jedynie hełm sygnaturki pokryty był blachą. Z wnętrza drugiej świątyni zachowały się do dzisiaj w kościołach na terenie Ziemi Limanowskiej oraz Małopolski stare ołtarze. Obecnie ołtarze te znajdują się: w kościele Św. Katarzyny w Wilkowisku (obecny ołtarz główny), w tymczasowej kaplicy Miłosierdzia Bożego w Mordarce (obecny ołtarz główny), w kościele Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Paszynie (obecny ołtarz



Obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej pochodzący z drugiego kościoła limanowskiego



Ółtarz z drugiego kościoła limanowskiego, obecnie znajduje się on w tymczasowej kaplicy w Mordarce

główny) oraz w kościele parafialnym Św. Józefa w Kalwarii Zebrzydowskiej. Drugi kościół limanowski został rozebrany na wiosnę 1911 roku. Jego elementy zostały wykorzystane wtórnie przy budowie tymczasowej kaplicy, która powstała koło cmentarza parafialnego i funkcjonowała podczas budowy obecnej bazyliki. Z samej rozbiórki drugiego kościoła zachowały się także fotografie wykonane przez Klementynę Zubrzycką.

Pozostałości poprzednich świątyn w obecnej bazylice

Prowadzący zwrócił szczególną uwagę uczestnikom spaceru na elementy wyposażenia obecnej bazyliki, które pochodzą z pierwszego i drugiego kościoła. Z wyposażenia pierwszej świątyni oczywiście pochodzi Figura Matki Boskiej Bolesnej oraz późnogotycka chrzcielnica z 1527 roku. O Piecie Limanowskiej i o gotyckiej chrzcielnicy pisano już wielokrotnie, między innymi i na łamach „Echa Limanowskiego”. Z drugiej świątyni parafialnej pozostało więcej elementów wyposażenia, które możemy zobaczyć w dzisiejszym kościele oraz muzeum

parafialnym. Są to między innymi dwie późnobarokowe drewniane figury z XVIII wieku Matki Boskiej i Świętego Jana Apostoła z dawnej Grupy Ukrzyżowania. Stoją one w prezbiterium nad wejściami do obejścia ołtarza głównego. Oprócz tego w kruchcie pod wieżą znajduje się barokowy krucyfiks, który w drugim kościele znajdował się na belce tęczowej. Z drugiego kościoła pochodzi także obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej umieszczony obecnie w bocznym ołtarzu Matki Boskiej Różańcowej. Jaka jest jego dokładna historia i kiedy oraz skąd trafił do limanowskiej świątyni trudno powiedzieć Jego dzieje czekają na zbadanie, ale może się okazać, że nie poznamy nigdy jego historii, gdyż może nie być żadnych informacji w źródłach archiwalnych. W wyposażeniu bazyliki znajduje się także pacyfikał z XIX wieku. Obecnie umieszczony jest on na tabernakulum i znajdują się w nim relikwie. Został on wykonany w Krakowie w 1832 roku. Inną niewielką rzeczą pochodzącą prawdopodobnie z drugiego kościoła jest odlew figury Matki Boskiej umieszczony na oknie przy wyjściu w arkadzie koło ołtarza Matki Boskiej Różańcowej. Figurę tę wykonał artysta rzeźbiarz Franciszek

Wyspiański (1836-1901), ojciec Stanisława Wyspiańskiego. Figura powstała w pracowni Franciszka Wyspiańskiego na ulicy Kanoniczej w Krakowie. Uczestnicy spaceru dowiedzieli się także, że niektóre kulty świętych i patrocina ołtarzy występujące w pierwszym i drugim kościele mają także kontynuację w obecnej bazylice. Przykładami takimi są Ółtarz Matki Boskiej Różańcowej, gdzie zaginiony słynący łaskami obraz obecnie zastąpiły figury wykonane przez Wojciecha Durka w latach 20. i 30. XX w. Innym takim przykładem jest witraż przedstawiający Świętego Walentego. Zaginiony obraz patrona miasta z ołtarza Świętego Walentego zastąpił w obecnej świątyni witraż.

W muzeum parafialnym znajdują się także między innymi stacje drogi krzyżowej z XIX wieku. Obrazy te wisiały w drugim kościele. Jest też tam sukienka na obraz Matki Boskiej Różańcowej. Wykonana została w XVIII wieku i nakładana była na obraz, który uważany jest obecnie za zaginiony.

Kolejny „V Spacer Historyczny po Limanowej” planowany jest na przełomie maja i czerwca.

Fotografie: Stanisław Ociepka, arch. albumu „Okruchy pamięci”



**BANK SPÓŁDZIELCZY
W LIMANOWEJ**

Kredyt Spełnienie Marzeń

Nie odkładaj planów na później -
realizuj je teraz z kredytem bez prowizji!



Tylko teraz prowizja 0%

Skorzystaj z promocji i zrealizuj swoje marzenia:

- ✓ kwota kredytu do 100 000 zł
- ✓ możliwość wyboru ubezpieczenia
- ✓ okres kredytowania do 60 miesięcy
- ✓ bez ukrytych kosztów
- ✓ szybka decyzja kredytowa
- ✓ wysokość raty dopasowana do indywidualnych potrzeb

Przykład reprezentatywny dla kredytu Bezpieczna Gotówka udzielanego w ramach promocji „SPEŁNIENIE MARZEŃ”:

Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) wynosi 9,92% - przy następujących założeniach: całkowita kwota kredytu (bez kredytowanych kosztów) 11 720 zł spłacana w 36 miesięcznych ratach kapitałowo-odsetkowych: 35 rat po 375,56 zł i jedna rata 377,13 zł. Stopa oprocentowania kredytu stała w wysokości 9,50% w stosunku rocznym. Całkowita kwota do zapłaty przez konsumenta wynosi 13 521,73 zł, w tym: całkowita kwota kredytu - 11 720 zł, całkowity koszt kredytu - 1 801,73 zł, na który składają się: odsetki - 1 801,73 zł, prowizja za udzielenie kredytu - 0 zł, składka ubezpieczeniowa - 0 zł oraz opłata przygotowawcza - 0 zł. Kalkulacja została dokonana na dzień 19.03.2018 r. na przykładzie reprezentatywnym. Przyznanie kredytu przez Bank uzależnione jest od pozytywnej oceny zdolności kredytowej. Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 r. Kodeks Cywilny.

„Spełnienie marzeń”... w najbliższej placówce Banku!

+48 668 830 382, +48 604 580 196

/ WYLEWKA ANHYDRYTOWA

/ POSADZKA ŻYWICZNA

/ Pomiar i wycena gratis

WYLEWKI
anhydrytowe



WYLEWKA ANHYDRYTOWA

POSADZKA ŻYWICZNA

Impuls

POSADZKI PRZEMYSŁOWE

www.posadzka-przemyslowa.pl